



**Prenumerata wynosi:** w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina. — w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półroczcie 8 guldenów albo 5 talarów.

**Treść Numeru.** Prelekcje publiczne Henryka Lewestama. — Na Prowincji, powieść w dwóch częściach przez Elżę Orzeszkową. — Korespondencja z Paryża. — Kronika teatralna. — Wiadomości miejscowe. — Obrazy na wystawie Towarzystwa zachęty sztuk pięknych. — O ubiorach. —

## PRELEKCJE PUBLICZNE

HENRYKA LEWESTAMA

Dra Filozofii, profesora Uniwersytetu.

(d. 9 Maja 1869 r.)

Życie poety, jako wprost tylko wewnętrzne, którego właściwą areną nie był świat ze swojemi walkami, ale tajnie własnego serca i walki, jakie się w tych najskrytszych duszy jego zakątkach odbywają, którego wyłącznymi niemal punktami zetknięcia z zewnętrzną są utwory twórczej jego fantazy, odzwierciedlające najczęściej każdorazowe usposobienie duszy samego twórcy, — to życie samo przez się zwykło mało budzić zajęcia, a przywiązujemy doń wagę tylko o tyle, o ile ono posłużyć nam może do oświetlenia jego charakteru, natury i ducha. Zatrzymałem się też dlatego w zeszłym odczycie, którego przedmiotem byli *Zbójcy* Schillera, na tym okresie jego młodości, którego najpierwszym wynikiem, po części najgłówniejszym reprezentantem był właśnie ten sam dramat, o jakim mówiłem; — dziś, mając powiedzieć o jednym z ostatnich jego twórczego życia, o *Maryi Stuart*, zmuszony jestem choć w kilku lekkich zarysach skreślić je do tej chwili, w której treść i forma poety oczyściły się już były w znacznej części ze wszystkich tendencyjnych domieszkań, zapewne przez się jak najzasadniej usprawiedliwionych, ale sprowadzających zbyt łatwo umysł młodociany, niechby najpoetyczniejszy, z obszaru bezpośredniego natchnienia, na manowce i bezdroża retoryki, z których później wyjście niesłychane zwykle przedstawia trudności. W samej rzeczy dwie następne po *Zbójcach* tragedye: *Spisek Fieska* i *Intryga i miłość*, słabszemi nawet są tylko kopiami tej samej idei, która rozsiadła się w *Zbójcach*, jakoby okrucieństwa z tego potężnego przedmiotu, o którym Schiller sam wyznał, że jest niepodobieństwem zamknąć go w trzech godzinach jednego wieczoru teatralnego. *Fiesko* z większą jeszcze ścisłością, prawda że z większą także nagością od *Zbójców*, przedstawia usposobienie republikanckie, napełniające całą epokę ówczesną. Pod względem atoli prawdy uczucia i żywoci akeyi, stoi on od nich daleko niżej, a język *Fieska* jeszcze przesadniej jest gwałtownym niż *Zbójców*, po części aż potwornym w swęj napuszystości. I na to znowu jedynie, ale zapewne aż nadto wystarczające tłumaczenie znajdujemy w młodzieńczych latach poety, który wszedł tu na pole politycznej tra-

gedyi, nie odpowiedniej jeszcze ani jego wiekowi, ani obfitemu w braki wykształceniu historycznemu, skutkiem czego intryga, na obrazie której, jak sam w przedmowie oświadczył, cała sztuka ma być opartą, posiadał w sobie coś niedonozzonego, coś dziecinnie niedojrzałego, co niekiedy budzi raczej uśmiech zamiast współczucia. Trudno w samej rzeczy, żeby dramat polityczny już udawał się temu, kto nie umiał jeszcze zapatrywać się na świat z jego strony prawdziwej, kto sądził go według teorii i ideałów, sam zaś jeszcze nie przeżył szkoły życia politycznego: — z pod takich rąk bowiem powstawać mogą jedynie czeze fantazmagorye i mgliste okazy, niemal karykatury, które przez chwilę wprawdzie potrafią treścią swoją nawet zapał obudzić, ale nie zdołają zadowolić spoczywającego na dnie naszej duszy pojęcia i popędu artystycznego. Pomimo jednak to wszystko, stanowczo wyznać należy, że geniusz poetyczny Schillera, z którym później spotykamy się w *Wallensteinie*, w *Maryi Stuart* i w *Tellu*, ukazuje nam się w *Spisku Fieska*, w kształtach embryonicznych, ale już nierównie potężniejszych niż w *Zbójcach*; — ma on bowiem przed nimi tę ogromną zaletę, że zamiast wystawionych tu potwornych bezkształtów, stawia nam przed oczy stałe postaci dziejowe. Tylko dla publiczności niemieckiej owe nagie i twarde figury republikanckie *Fieska* mniej były sympatecznymi, — tylko Niemcy przenosili nad niego nieokreślone i wymarzone obszary Czeskiego Lasu i *Zbójców*, a *Fiesko*, z niemałą boleścią poety, za pierwszym pojawieniem się na scenach niemieckich, doznał niezmiernie chłodnego przyjęcia.

Dруга tragedia, która wyszła z tej samej fazy twórczości, *Intryga i Miłość*, jednym już ważnym i wielkim krokiem postąpiła dalej w życie rzeczywistości, aniżeli dwa dramata, które ją poprzedziły, w niej bowiem widzimy najjaśniej, jakie wówczas panowało usposobienie przeciwko światu magnackiemu, jakie sobie tworzone pojęcia o tym świecie ztracuziałym i znikczemniałym, któremu przypisywano wszelkie najczarniejsze bezeceństwa, przeciwstawiając mu jednocześnie wzgardzone i uciśnione mieszczaństwo. Z takiego przeciwstawienia wyrosła tu walka, której tłem, a zarazem i celem była odraza moralna do owych sfer wyższych, ale w tej odradzie zacierało się niemal wszelkie jasne poczucie zamiarów i celów sztukmistrza. Wraz z tą tragedją wstępujemy z pierwszego okresu poety, z okresu jego dążeń bezkształtnych, mglistej młodości, a wchodzimy w okres nacechowany coraz bardziej pogodą umysłu, oparty na gruntownych studjach i poważnem myśleniu. Na granicy dwóch tych okresów stoi *Don Kar-*

*los*, którego pierwszy plan poczęty był przez Schillera w owem jeszcze ciemnym i namiętnem przejęciu się bieżącymi wyobrażeniami chwili, i który dopiero w miarę, jak się rozwijał pod ręką poety, z ciemnego kółka ponurego obrazu rodzinnego dynastii hiszpańskiej, którego postaciami głównymi byli Filip II i syn jego Don Karlos, przeniósł się w charakterze marki za Posa na pole idei kosmopolitycznej godności i swobody człowieczeństwa.

Jeżeli już w Don Karlosie dostrzegamy znakomite oczyszczanie się pierwotnego fermentu, uspokojenie to wzrastało jeszcze skutkiem studyów historycznych i filozoficznych, którym zaczął się oddawać z całym zapałem, a z których wyrosły nie tylko najlepsze jego poezye liryczne, lecz również największe, albo raczej prawdziwie wielkie tragedye, którym, jako utworom scenicznym, żadne inne dotąd nie dorównały, których żadne tem bardziej nie prześcignęły. Najdawniejszą z nich i największą co do objętości, treści i sposobu jej traktowania, jest trylogia *Wallenstein*, poemat dramatyczny złożony z trzech pojedynczych, a tylko myślą przewodnią połączonych między sobą utworów: z obrazu *Obóz Wallensteina* (*Wallenstein's Lager*), z dramatu *Piccolomini* i z tragedyi *Śmierć Wallensteina* (*Wallenstein's Tod*). Wybór tego przedmiotu niezmiernie szczęśliwy: — Wallenstein bowiem, to imponująca swą wielkością postać dziejowa, która upada, — postać, której tłem jest epoka wojen naby religijnych, wojna 30 letnia, epoka wewnętrznie i na zewnątrz najgwałtowniej wzburzona, z którego to przecież wzburzenia wydobyla się owa postać na szczyt, choć wnet znow z niego zostaje strącona, postać nareszcie, którą już historyczna tradycja przybrała w wielkie idee, wymagające jedynie kształtu poetycznego, nie zaś nowej inweneyi. Sam ten wybór uczyniłby Schillera wielkim poetą, gdyby nawet nie przybywało mu w pomoc wykonanie pełne niezrównanej prawdy i życia, po większej części szczegółami mistrzowskie. Następująca po *Wallensteinie*, tragedia: *Maryja Stuart*, o której dziś mówię zamierzam, a która powstała zaraz w kilka miesięcy po ukończeniu ostatniego aktu *Wallsteina* w r. 1799, tą samą okolicznością, której ta trylogia zawdzięczała uwielbienie powszechne, zyskała niemal w wyższym jeszcze stopniu sympatyę ogółu. I ten bowiem utwór treścią swoją nadawał się znakomicie do tragedyi prawdziwie historycznej, jakkolwiek żywił sentymentalny, współczucia serdeczne dla losu królowej, rzewność i ludzkość tyle w niej przeważają, że materiał dziejowy zstępuje tu niejako na drugie pole. Rzekłbyś że Schiller, przesycając się już *Wallensteinem*, bohaterami którzy pozują w historii



zatemknął za obrazem ludzkiego cierpienia, z którymby współczuł ludzką swą duszą. To cierpienie wysnuł sobie z kolei życia nieszczęśliwej szkockiej królowej, a jakkolwiek, chcąc widokiem ich przejąć widza do głębi, zmuszony był upiększyć tę postać, kreacya jego przecież wyszła jako czysta typowa, i chyba na zawsze już przed wyobraźnią ludzkości ukazywać się będzie raczej w owych barwach świetlanych, jakie jej nadał poeta, aniżeli w kolorycie bardziej ponurym, jaki na jawie nadawał jej fanatyzm religijny i rozwiązyły obyczaj.

Zanim przystąpię do bliższego scharakteryzowania samej-że tragedii, nie od rzeczy będzie skreślić tu pokrótce główne zarysy faktów dziejowych, na których ona oparta.

Od dawna już dwa państwa sąsiednie, Anglia i Szkocya, będące oba widowniami częstych zaburzeń, gwałtów i zbrodni, w ustawicznej między sobą żyły niezgodzie. Już Jakób IV, król szkocki, dziadek Maryi Stuart, przyjęciem na dwór swój Warbecka, pretendenta do korony angielskiej, wplątał się stanowczo w wojnę z królem Anglii Henrykiem VII, zakończoną atoli r. 1502 traktatem pokoju i małżeństwem Jakóba z córką Henryka. Po wstąpieniu na tron angielski syna tegoż, Henryka VIII, który zamyslał wznowić dawne roszczenia Anglii do Szkocyi, Jakób sprzymierzył się z Ludwikiem XII, królem francuzkim, którego wojskiem posiłkowym wzmocniwszy własne swe pułki, wkroczył 1513 r. do Anglii i tu zginął wraz z kwiatem rycerstwa w bitwie pod Flodden. Gdy syn jego, Jakób V, a siostrzeniec angielskiego Henryka VIII, doszedł do pełnoletności, Henryk, bawiący się wówczas w rozprawy teologiczne i religijne reformy z których nie wiedział jaką stanowczo ma przyjąć, wezwał młodego Jakóba do wprowadzenia reformacyi również do swego kraju, w czem ten jemu nie tylko odmówił, lecz tem silniej sprzymierzył się z Francją katolicą, zaślubiając lotaryngską księżniczkę Maryę de Guise, skutkiem czego Henryk VIII w 1540 r. siostrzeńcowi swemu wypowiedział znów wojnę, której niepowodzenia przyspieszyły śmierć młodego monarchy szkockiego.

Królestwo swoje, zagrożone przez Anglię i miotane zawichrzeniami religijnymi, zostawił Jakób V córce swej Maryi Stuart, licząc zaledwie kilka dni życia, a w imieniu której, na mocy testamentu, objął regencyę kardynał Beaton, godny reprezentant moralnego upadku duchowieństwa, który to upadek w tej epoce większy jeszcze był w Szkocyi, aniżeli gdzie indziej. Otoż gdy reformacya odniosła tryumf w Niemczech i w Anglii, klasy wyższe i oświecone w Szkocyi, kraju przgotowanym już do podobnego przewrotu przez stronników Wiklefa, przyjęły nowe wyobrażenia zapewne niemniej dla interesu, któremu bogate i potężne duchowieństwo na każdym kroku stawiało przeszkody, jak z wewnętrznego przekonania religijnego. Nadaremno kardynał Beaton przesłał nowe wyznanie ogniem i mieczem jeszcze za Jakóba V, — napróżno, gdy posiadał władzę regenta, chwycił się podstępów i gwałtów dla powstrzymania jego powodzeń. Jakób Hamilton, hrabia Arran, ogłoszony przez szlachtę regentem w miejsce Beaton, chcąc zneutralizować wpływy francuzkie, zaręczył młodą królową Maryę Stuart z synem Henryka VIII. Ale zamachy tego króla na nie podległość Szkocyi sprowadziły r. 1543 zerwanie tego przymierza, którego nie mógł już wznowić książę Somerset, regent Anglii po śmierci Henryka VIII; — w miejsce przymierza nastąpiła nawet otwarta wojna, w której Szkoci pobici zostali na głowę na równinach Pinkay'u. Klęska ta zniewoliła Szkocję do rzucenia się stanowczo w objęcia Francyi, — jakoż r. 1548 dwór francuzki posłał do Szkocyi korpus 6 tysięczny, i młodą królową, dziecę pięcioletnie, przewieziono do Francyi, gdzie ją starannie wychowywano w klasztorze; zaręczono z delfinem, starszym synem króla Henryka II i Katarzyny de Medicis, który panował później pod imieniem Franciszka II. Kiedy Gwizyusze, zarliwi zwolennicy katolicyzmu, rozciągali opiekę nad Maryą, matka jej pochlebstwami przywiązywała do siebie protestanckie stronnictwo, tak iż 1554 mogła objąć regencyę w miejsce hrabiego Arrana. Władza regentki i wpływ Francyi wzmogły się jeszcze, gdy r. 1558 szesnastoletnia Marya Stuart zaślubiła następcę tronu francuzkiego, a za podniętą wujów swoich, książąt Lotaryngskich Gwizyuszów, królowa francuzka i szkocka podpisała akt, na mocy którego w razie bezdzietnego jej zejścia, Szkocya przejść miała do korony francuzkiej.

Po śmierci męża swojego, niemile widziana przez

świekrę, Marya powróciła w roku 1561 r. do Szkocyi, będącej skutkiem jej wychowania i obyczajów krajem dla niej zupełnie obcym. Zaledwie też opuściła brzegi francuzkie, gdy już zaczęła się dla niej walka z Elżbietą, która nienawidziła ją jako królową i jako kobietę, i zasadzki której zastawionej na siebie w czasie przewozu ujęć zdołała tylko przypadkiem. Jako kobieta Elżbieta niezawidziła ją za to, że Marya przewyższała ją nieskończenie wdziękami ciała, gracyą niewymowną postaci, ruchów i mowy, jako królowa, że też Marya Stuart będąc wnuczką Małgorzaty angielskiej z domu Tudorów, nie uznawała na tronie Elżbiety, wprawdzie córki Henryka VIII, ale z Anny Boleyny straconej z rozkazu męża i króla za złamanie wiary małżeńskiej, skutkiem czego jej córka od kolebki została przez własnego ojca wydziedziczoną. Sama Marya mniemała ztąd lepsze od niej mieć prawo do Anglii, jakoż przybrała zaraz na wstępie tytuł królowej angielskiej i szkockiej, — czego też, pomimo wszystkich czynionych sobie uwag, nigdy nie zaniechała. Obok tego nie chciała ona uznać aktu, mocą którego w r. 1560 parlament szkocki, nie bez zachęty ze strony Elżbiety, zaprowadził w kraju tym reformacyę; okoliczność ta, również jak lekkie jej obyczaje, oburzyła purytanów i szczególniej podnieciła zelotyzm reformatora Knoxa, który o występkach królowej publicznie miewał kazania. Nie przyjąwszy ręki hrabiego Leicester, ulubieńca Elżbiety, zaślubiła swojego kuzyna, Szkota Roberta Darnley, wnuka własnej jej babki Małgorzaty Tudor z drugiego małżeństwa, ten jednak wkrótce okazując się rozpustnym i cheiwym władzy, gburowato obchodził się ze swoją małżonką, która odpłacała mu się pogardą i oziębłością. Królowa w otoczeniu swoim miała śpiewaka Dawida Rizzio, jak utrzymują jej zwolennicy, starego i brzydkiego Włocha, jak nieprzyjaciele, a za niemi poeci, piękne i młodego, którego przedstawiają zwykle jako jej szczęśliwego kochanka, a który był jej doradcą i sekretarzem, głównie zaś prowadził jej sekretne korespondencye z dworami katolickimi. Tego człowieka Darnley, wpadłszy do zamku Holyrood, do sali jadalnej królowej, w jej oczach kazał zamordować, — ją zaś pozbawiono wolności. Pozornie dość obojętnie przyjęła obelgę, wyrządzoną sobie jako żonie i jako królowej; przymilaniem się ujęła sobie nawet Darnley'a, który odkrył jej swoich współspiskowców i zebrałszy na prędce wierny ko rpus, sprzysiężonych zmusiła do ucieczki. Urodzenie syna, Jakóba VI, który jako Jakób I po śmierci Elżbiety zasiadł na tronie połączonej już Wielkiej Brytanii, zdawało się scieśniać węzły miłości małżeńskiej, gdy nagle dom pod Edyburgiem, gdzie mieszkał chory Darnley, najstaranniej przez Maryę pielęgnowany, pewnej nocy, gdy ona znajdowała się na weselu jednego z dworzaków, skutkiem eksplozyi prochu wysadzony został w powietrze, a Darnley'a i jego paza znalaziono w bliskim polu nieżywych. Głos publiczny obwinił królową i jej tajemnego kochanka, hrabiego Bothwella; ten ostatni nawet stawiony został przed sądem, lecz po pozornej procedurze sędziowie go uniewinnili. Od tej chwili Bothwell występował jawnie jako pretendent do ręki królowej, a rozwiodłszy się z pierwszą swoją żoną, zaślubił zaślepioną w swęj namiętności Maryę, w Maju r. 1567, we trzy miesiące po tajemniczej śmierci Darnley'a. Bothwell jednak nie kochał jej, a działał jedynie przez ambicyę, jakoż traktował ją po brutalnie i starał się dostać następcę tronu pod swoją władzę. Oburzona temi wypadkami szlachta protestancka, zawiązała w Stirling konfederacyą dla obrony dynastyi i państwa, ścigała wojsko i zajęła stolicę; królowa zaś tymczasem wraz z mężem schroniła się do Dunbar i również gotowała się do oporu. Kiedy jednakże obie armie spotkały się d. 15 Czerwca pod Corberry, Marya rozpoczęła układy i oświadczyła do nieprzyjacielskiego obozu, gdzie wprawdzie zrazu przyjęto ją ze czcią i przyrzeczono opiekę i posłuszeństwo, lecz gdzie pomimo to zatrzymano ją i wśród obelg ludu zawieziono do Edyburga, zkaąd pod pozorem, że koresponduje z Bothwelem, odprowadzono ją do zamku Lochleven i tu pod ścisłą strażą. Bothwell skazany na banicyę, uszedł do Danii, gdzie w ośm lat później zmarł w nędzy i w obłąkaniu. Przeciśnięta przez nieprzyjaciół Marya, w d. 29 Lipca 1567 r. złożyła koronę na korzyść swojego syna, za którego regencyę objął Murray, jej brat naturalny, naczelnik stronnictwa protestanckiego; ponieważ zaś niewola jej nie brała jeszcze końca, katolicycy jej zwolennicy skłonili młodego lorda Douglasa, bra-

ta dziedzica w Lochleven, żeby wyswobodził królową. Douglas kochał ją od dawna, a otrzymawszy przyrzeczenie jej ręki, uprowadził ją szczęśliwie przez pobliskie jezioro, na brzegach którego zbrojna garstka przyjęła ją z uniesieniem. Manifestem wydanym w zamku Hamilton, oświadczyła wówczas, że abdykacya jej była wymuszona. Ale wkrótce potem regent Murray pobił jej armię na głowę pod Longside; Marya z pola bitwy uciekła do Anglii, gdzie w Carlisle odniosła się do Elżbiety z prośbą o opiekę i osobiste widzenie.

Elżbieta natomiast kazała swoją rywalkę zatrzymać w więzieniu i widzenia się z nią odmówiła, dopóki się nie oczyści z zarzutu współnictwa w zamordowaniu Darnleya. W tym celu i Murray, który również jak Elżbieta pragnął ją zgubić, wysłał do Anglii komisję, która rozpoczęła co do tej zbrodni obszernie śledztwo, co wszakże rezultatu nie wydało żadnego. W takich okolicznościach sprawa królowej, ani sądzonęj, ani wypuszczanęj na wolność, stawała się sprawą katolicyzmu w Anglii i w Szkocyi, nawet i zagranicą, co Elżbietę większą jeszcze napełniało nienawiścią i zemstą. Przewieziono Maryę z jednego warownego zamku do drugiego, dawano jej brutalnych stróżów i traktowano ją jak najsurowiej. Nieroztropne i dumne jej postępowanie, usiłowania o jej wyswobodzenie, podjęte kilkakrotnie przez katolickich magnatów, kłatwa rzucana przez papieża na Elżbietę i spiski zawiązywane, najczęściej w Niderlandach przez księcia Albe, wyrobiły powoli w Elżbiecie postanowienie pozbycia się niebezpiecznej współzawodniczki za jaką bądź cenę. W r. 1586 niejaki Bawington uknuł z innym i spisek, mający jak zwykle na celu zamordowanie Elżbiety i wyswobodzenie Maryi. Plan ten został odkryty, a dwór londyński sam zawiązał korespondencyę z Maryą, żeby ją w ten spisek uwikłać — a lubo Marya, ostrzeżona przez swoich przyjaciół nie wpadła w zastawione jej sidła, stawiono ją przecież po strąceniu spiskowych przed sądem, który po najnieprawiejszej procedurze skazał ją na śmierć. Usłużny parlament angielski zatwierdził ten wyrok, a Elżbieta podpisała go z żalem niezawodnie udanym. Proźby i groźby Henryka III, króla Francyi, dworu hiszpańskiego, oraz Jakóba VI, syna nieszczęśliwej, były daremne. Marya została ściętą d. 18 Lutego 1587 r. w sali zamku Fotheringhay, po dziewiętnastu latach spędzonych w więzieniu. Umarła odważnie i z poddaniem się religijnem, sama włożywszy sobie w usta Przenajsw. Sakrament, przysłany jej przez papieża. To też, jakkolwiek niezaprzeczone tytuły Elżbiety do wdzięczności Anglii, wielkie jej usługi oddane ojczyźnie, usprawiedliwiają po części pobłażliwość okazywaną dla jej słabostek, wyskoków, nadużyć kobiety, srogości i despotyzmu królowej, — nie przecież zmazać nie może hańby, jaka na niej ciąży z powodu męczarni, udęczeń i zabójstwa nieszczęśliwej królowej, która, jak wielka część świadectw współczesnych dowodzi, padła mnięj ofiarą politycznego wyrachowania, aniżeli nikczemnej zadróżki niewieści, zazdrości nie tyle miłosnej, ile raczej piękności i gracy, \*któremi starsza od niej o lat 9 Elżbieta nigdy się z nią równać nie mogła.

Trudno może w całej nowożytniej historii o przedmiot wyżej tragiczny, któryby sam przez się niemal bez przyczynienia się inwencji poety, był bogatszy w kolizye tragiczne, a w przedstawicielach dwóch potężnych sprzeczności więcej potraçał o szerokie i niezmiernie wpływowe kwestye dziejowe. Schiller, podejmując ten przedmiot, samym jego wyborem już ukazał się wielkim dramatykiem, a był nim tem więcej, o ile mnięj uczuwał potrzeby uzupełniania charakterów rysami, których w takowe nie włożyła historia. W przebiegu poprzedzających wypadków, na którym zbyt długo może, lecz dla celu mojego niezbędnie, śmiałem zatrzymać tu uwagę szan. słuchaczy, występują na jaw wszystkie czynniki, z których wyrosła nienawiść ludów i stronnictw w ówczesnej Anglii i Szkocyi, nienawiść także panujących w obu tych krajach królowych: — poeta potrzebował je tylko powiązać, a bardziej ukryte sprężyny psychologiczne uwydatnić w dotykanych postaciach. W każdym razie śmierć Maryi daleko szersze i głębiej wpływowe przedstawiała pole do takiego dramatu psychologicznego, aniżeli śmierć Włocha Rizzia i małżonka królowej Darnley'a, których na swoją *Maryę Stuart* użył drugi wielki poeta, Juliusz Słowacki.

Schiller mężobójstwo królowej przedstawia jako nie ulegające żadnemu wątpieniu. Zaraz w pierwszej scenie I aktu, kiedy surowy dowódzca zamku Fotheringhay, Amias Paulet, zabiera jej papiery



i resztę klejnotów, a na wymówki przywiązanej do Maryi Kennedy odpiera, że:

Występków pełne życie w nędzy tylko  
I poniżeniu znosi swą pokutę,

widzimy takie przyznanie w odpowiedzi powiernicy królowej:

Jeżeli jęj niedoświadczona młodość  
Zgrzeszyła, sprawa to pomiędzy Bogiem  
A własnym sercem jęj; — zaś w Anglii nie masz  
Na nią sędzięgo.

A w scenie czwartej wyznanie to występuje jawniej jeszcze z ust samej Maryi, w głosie jęj skołatane sumienia, które Kennedy napróżno usiłuje uciszyć (Wszystkie przytoczone z Maryi Stuart ustępy są mojego przekładu.)

Marya.

Zbyt chętne ucho w dniach naszego blasku  
Dawaliśmy pochlebcom, — więc też słuszna,  
Byśmy wymówki dzisiaj głos słyszeli.  
. . . . . Poznaję go, to krwawy cień Darnley'a; —  
Już gniewny występuje z grobów cieśni,  
I nigdy, nigdy między mną nie będzie  
A nim pokoju, póki nieszczęść moich  
Nie spełni się już miara.

Kennedy.

Jakież myśli!

Marya.

Ty zapominasz, Hanno, ja pamiętam!  
Strasznego czynu dziś wróciła znowu  
Rocznica, którą skrucha i postami  
Obchodzić zwykłam.

Kennedy.

Raz już przecie, pani,  
Niech ten zły duch się uda na spoczynek!  
Już czyn ten żalem długoletnim, łzami,  
Ciężkimi cierpieniami, o królowo,  
Zbyt srodze przypłaciłaś; już ci kościół,  
Co każdą winę mocen jest rozwiązać,  
Już Niebo przebaczyło.

Marya.

Jednak wina  
Tak dawno darowana, świeżo krwawa,  
Ze zbyt płytkiego się wychyla grobu!

Marya jeszcze nie wie, że wyrok na nią wydany, ale czuje w tej chwili zwątpienia, że los jęj nie minie i wyznać musi przed sobą, iż los ten będzie zasłużony. Tylko narzędzie, jakie boska Sprawiedliwość wybrała do kary, oburza ją — i ona, tak niegdyś wesoła na duchu, którą, jak mówi Kennedy, łajac nieraz było potrzeba raczej za umysł zbyt lekki, aniżeli za smutek ponury, ona gotowa się poddać pod nieuniknione:

Bo *krwawa zbrodnia krwią* się tylko zmaże.

(d. c. n.)

## NA PROWINCJI

POWIEŚĆ W DWÓCH CZĘŚCIACH

PRZEZ

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg.)

Po obfitem i smacznym choć nie wytwornym śniadaniu, proboszcz prezentował obecnym nowo przybyłego do X. lekarza który serdecznie powitany, serdecznie też witał przyszłą swą klientelę. Następnie wszyscy poważniejsi ludzie zebrawi się do pokoju

w którym znajdowała się Hrabina i Bolesław Topolski został wezwany przez proboszcza, aby zdał sprawę sąsiadom z urzędnika Szpitalu, którego dokonaniem głównie się zajmował. Bolesław otoczony gronem mężczyzn przystąpił do stołu na którym leżały papiery i rachunki dotyczące się dobroczynnego przedsięwzięcia, i zabrał głos z pełną prostoty powagą. Wykrzykniki, pochwały i potwierdzenia co chwilę przerywały mu mowę, gdy skończył, doktor przemówił kilka słów o potrzebie zaprowadzenia w okolicy pewnych niezbędnych prawideł i urzędów higienicznych, potem nowoznajomi uściskali go z kolei serdecznie i przyrzekli przyjęcie podanych przez niego projektów. Gdy gwar umilkł znowu nieco, proboszcz odezwał się.

— Z pomocą Boga i współdziałaniem poczciwych ludzi, doprowadziliśmy do szczęśliwego końca użyteczne przedsięwzięcie posiadania w okolicy stałego lekarza, i urzędnika dla biednych klas szpitalu. Ale niekoniecznie na tem panowie, a przynajmniej nie powinien być na tem koniec. Działajmy dalej równie użytecznie dla siebie; ogólny początek już zrobiony, ale wiele jeszcze uczynić trzeba aby okolicę naszą doprowadzić do kwitnącego stanu społecznego i rolniczego. Przygotowaliśmy kochani sąsiedzi parę projektów, które wam podamy, może uznacie w ich spełnieniu korzyść własną i ludzi, na których czele stoicie jako oświeceni i bogatsi...

— Jakież te projekta? jakie? zawołało kilka głosów.

— Jam nie tęgi w wymowie, zażartował proboszcz i lubo pojmuję plany i podzielam je całą duszą, nie potrafiłbym jednak dokładnie wam ich objaśnić, ot, poprośmy naszego p. Topolskiego.

Bolesław zaśmiał się.

— Chcecie proboszczu, jak widzę, wykierować mnie na Cyncerona! rzekł.

Kilka głosów zaśmiało się, a kilka ozwało z prośbą, aby Bolesław objawił te plany ułożone z proboszczem ku publicznemu użytkowi.

— Czemużby nie? po prostu odpowiedział Topolski, z chęcią powiem państwu co myślę, oto potrzebujemy bardzo, potrzebujemy dwóch rzeczy, wzmożenia się oświaty i podniesienia w dość smutnym stanie zostającego rolnictwa.

— A jakieżmiś środkami pan sądzisz że nabyć się dadzą te dwie rzeczy? z lekkim przekąsem spytał plenipotent Hrabiny, wygolony i wyfrakowany jego mość, stojący za krzesłem swęj pryncypałki.

— Tego co powiem nie podaję za pewniki, są to tylko propozycje, odparł spokojnie Bolesław, dla oświaty potrzebujemy założenia biblioteki wspólnej i składkowej dla nas oświecenijszych, a szkółki dla włóścian; w celu podniesienia rolnictwa, przemysłu, handlu i kredytu co wszystko razem łączy się z sobą, powinniśmy zaprowadzić po majątkach udoskonalone maszyny rolnicze, ulepszyć stan dróg komunikacyjnych i w stosownych, miejscowościach pozakładać fabryki odpowiednie stanowi i położeniu ekonomicznemu okolicy.

— Ho, ho! zbyt daleko pan sięgasz! zawołał plenipotent.

— Zupełnie podzielam zdanie p. Topolskiego owała się wnet Hrabina.

Plenipotent skłonił się nisko i umilkł.

Kilku mężczyzn, którzy mieli już na ustach zarzuty przeciw słowom wyrzeczonym przez Bolesława, na głos Hrabiny umilkli. Kilku innych, poczeli gwarzyć i komentować podane plany. Stary oryginał p. Tomasz odezwał się:

— Mospanie Topolski, słyszym głos, ale go nie rozumiemy, słyszym że dzwonią ale nie wiemy w którym kościele, wytłómacz nam to po prostu i wyraźnie jak i co należy zrobić, bo nam wszystko łopata, trzeba kłaść w głowę.

Mówiąc to oryginał uśmiechał się filuternie i spoglądał na kupkę gwarzących sąsiadów. Było wyraźnym że pił do nich.

— I owszem odpowiedział Bolesław, który w miarę jak ożywała się rozprawa, zaczął zapalać się do podawanych przez siebie planów. A naprzód wydaje mi się koniecznością wspólna biblioteka....

— Za pozwoleniem! co to? na co? i za co będzie ta biblioteka? przerwał jeden z dzierżawców.

— Zaraz powiem panom odrzekł Bolesław i w zwięzłych a jasnych wyrazach wytłómaczył główne zasady swego projektu.

Gdy Bolesław skończył mówić znowu gwar wielki powstał w około niego. Jedni zapalili się do projektu i przyklaskiwali mu gorąco: inni z cicha powiadali że szkoda pieniędzy i ciężkie czasy; inni jeszcze poważnie naradzali się z sobą półgłosem.

Hrabina znowu głos zabrała.

— Bardzo użyteczny i do spełnienia łatwy ten projekt. Znam podobne urządzenia w niektórych okolicach, i widziałam że znacznie dopomagają rozwojowi oświaty. Potwierdzam też serdecznie plan p. Topolskiego, i radzę abyście państwo wszyscy to samo uczynili. Spodziewam się że nie wyłączycie mnie państwo od współuczestnictwa, a ponieważ biblioteka ma stać się w przyszłości zbiorem publicznym, pozwólcie abym ofiarowała do składki dwa razy większą corocznie sumę jak wszyscy.

— Pani Hrabina jest dziwnie wspaniałomyślna! zawołał plenipotent z udanym zapałem.

— Pani Hrabina działa jak zacna obywatelka posiadająca znaczne majątkowe środki, rzekł Bolesław z szacunkiem skłaniając się przed wielką panią.

Taką jest moc wpływu jaki wywierać może kobieta rozumna i bogata, że na głos Hrabiny opponenci umilkli, w zupełnym przekonaniu, że jeżeli *taka pani* uznaje co za słuszne, takim być ono musi z pewnością.

Czemu kobiety bogate tak rzadko pożytkują ten wpływ wielmożny złożony w ich ręku przez Opatrzność? Czemu tak rzadko biją w ich piersi obywatelskie serca? Czemu uchylają się od szczytnych zadań jakieby im tak łatwo spełnić przyszło? Mężczyzna że szczupłymi nawet materjalnymi środkami, może wywrzeć potężne wpływy, mocą rozumu, nauki, prawości i siłą charakteru; kobieta niebogata, szczególnie w pewnych zaściankowych i mało oświeconych sferach, gdyby posiadała rozum mędrców Greckich i serce anielskie, nie stanie się nigdy osobą wpływową w swem kółku.

Pewne uprzedzenia wiążące się z jęj kobiecością będą jęj zawsze stawały na drodze: gdyby najrozumniej mówiła, parafija będzie słuchała z uśmiechem i przyjdzie w końcu do rezultatu, że nie ma po co słuchać, bo kobieta to tylko i kwita!

Ale z kobietą bogatą, rzecz ma się inaczej. Bogata a więc światowa, światowa a więc rozumna w prostocie ducha rozumują prostaczekowie, a gdy się raz przekonają dowodnie, że ta światowa i rozumna jest także prawdziwie dobrą i nie dumną ze swego bogactwa, to już potem będzie ona mogła zawiesić ich kiedy zechce słowami swemi, przykładem, uprzejmym uśmiechem, kordjalnym podaniem ręki. I nie potrzeba wcale aby kobiety bogate dla osiągnięcia zbawionych w społeczności wpływów, wydawały wiele pieniędzy, wyrzekały się całkiem przyjemności życia do których przywykły od dzieciństwa, podróży, stroju, zabaw: trzeba tylko aby wśród tych wszystkich uciech i zamiowań, posiadały one miłość dla jakiej pięknej idei i aby pragnęły wysokiej uciechy dopomagania czynem wcielenia się tej idei.

Gdyby kobiety bogate pojęły całą ważność i piękność nazwy: obywatelka — i gdyby bogactwa swego chciały użyć za piedestał, na którym stanąwszy miałyby prawo uwieńczyć swe skronie niezmierną glorią tej nazwy — byłoby.... byłoby nam wszystkim łatwiej dojść do upragnionego celu. Myśl wspólnej składkowej biblioteki, po kilku chwilach debatów z tymi którzy raz jeszcze ozwali się o ciężkich czasach, została ogólnie przyjęta, pochwaloną i uznaną za bardzo rozumną i korzystną. Stary Siankowski odezwał się:

— Ot za tydzień w dzień św. Elżbiety królowej Węgierskiej imieniny mojej żony, proszę wszystkich państwa do siebie, a tam wszyscy złożymy grosiwo i oddamy je do rąk naszego kochanego kasjera pana Topolskiego, który niech tam sobie z ks. proboszczem i panem konsyljarzem książki dla nas powybera i sprowadzi.



— Dobrze, dobrze, będziemy służyli! ozwał się wiele głosów.

Proboszcz mrugnął na Siankowskiego aby zaprosił hrabinę.

Szlachcic stracił rezon pogładził łysinę i przestępował z nogi na nogę, zakłopotanem okiem patrząc na wielką panią. Po chwili jednak przystąpił do niej rezolutnie i rzekł:

— Pani Hrabina może także nie pogardzi moją niską chatą. Wszakże to ja pani dobrodziejki dzierzawcą i sługą od lat dziesięciu...

— Z całego serca, odrzekła hrabina uprzejmie, przyjadę do państwa, aby powinszować imieniu pani Siankowskiej i uczestniczyć w zebraniu kochanych sąsiadów.

Podawała rękę staremu dzierzawcy, którą on ujął końcami palców i wycisnął na niej głośny pocałunek.

— Kochana to nasza hrabina! szepnęli między sobą sąsiedzi.

Następnie proboszcz wspominał o szkółce ludowej i ze stanowiska kapłana powiedział kilka słów o powinności chrześcijańskiej nauczania słowa Bożego biednych braci. Bolesław całkiem już przejęty ważnością rozmowy, podniósł słowa proboszcza i mówił ze stanowiska obywatelskiego, dowodząc jakie niezmiernie korzyści przynosi krajowi oświata ludu, jakie wielkie znaczenie w narodzie ma ta za najniższą uważana warstwa społeczna. Mówiąc, nie rozstawał się ze zwykłą sobie prostotą, wyrażenia jego były proste, zwyczajne, bez najmniejszej przesady i deklamacji, ale oczy płonęły mu zapalem i głębokim przekonaniem. Zdawało się że postać jego wyprostowała się, urosła. Przerywano mu często wykrzykami to pochwały i potwierdzenia, to niedowierzania i zarzutów, on przekonywał, dowodził faktami, a znać było, że całą duszę swoją wkładał w swoje słowa. Raz tylko, w chwili najwyższej rozprawy, przerwał nagle mówienie, spuścił oczy i usta mu trochę zadrżały. Było to wtedy kiedy mimowoli rzucił okiem na Wincunię i spotkał się z jej oczami przywiązanymi do jego twarzy, z dziwnym wyrazem uwielbienia i przejmującego smutku...

Niczem łatwiej nie można zaprowadzić ludzi tam, gdzie się ich zaprowadzić pragnie, jak siłą własnego przekonania. Bolesław posiadał tę siłę i przekonał tych którzy zrazu z niedowierzaniem lub niechęcią myśl jego przyjęli. Potrzeba założenia szkółki wiejskiej została także powszechnie uznana. Rozprawiano potem o różnych kwestjach rolniczych, poprawie dróg, sprowadzeniu machin, zakładaniu fabryk. Gdy przyszło do ostatniego punktu, Bolesław powiedział, że zdaje mu się że w majątkach hrabiny możnaby z korzyścią dla właścicielki i ogółu wzniesć kilka przemysłowych zakładów.

Plenipotent zaśmiał się ironicznie i począł odpyrać dowodzenie Topolskiego. Bolesław bronił swego zdania z całą energią silnego przekonania i z kompetencją człowieka, który wiele myślał i uczył się. Dowodził cyframi i faktami, cytował ekonomistów i wskazywał na przykłady fabryki istniejące w podobnych warunkach.

Ukrytą zasadą dowodzeń plenipotentą była myśl: skoro powstana fabryka w dobrach hrabiny, przybędzie mnóstwo nowych interesów a zatem mnie przysporzy się pracy i kłopotów. Zasadą słów Bolesława było przekonanie, że założenie fabryk wzmoże handlowy ruch w prowincji, rzuci w obieg kapitały, podniesie rolnictwo, da pracę i dobrobyt mnóstwu ludzi — a samemu właścicielowi przysporzy znacznie dochodów, które ona jako zacna kobieta pewnie na dobre użyje.

Plenipotent cyframi i najprostszymi zasadami ekonomii społecznej, został przez Bolesława przyparty do muru, i kapitulował. Sąsiedzi nie posiadali się z radości, bo nie lubili przekupnego i pysznego prawnika, a przeciwnie wszyscy prawie lubili i poważali Topolskiego. Mrugali więc do siebie, uśmiechali się i dopomagali w rozprawie Topolskiemu jak mogli i umieli.

Ale wrażenie wzrosło już do najwyższego stopnia, gdy Hrabina ozwała się zwracając się od plenipotentą do Topolskiego.

— Z największą uwagą słuchałam rozmowy panów obu i p. Topolski najzupełniej mnie przekonał.

Uśmiechnęła się i dodała:

— Gdybym była królową, uczyniłabym pana ministrem robót publicznych.

— W naszej okolicy, odrzekł z uśmiechem także

Topolski, pani Hrabina może posiadać wpływy prawie królewski, z powodu wielkich środków majątkowych jakie Opatrzność złożyła w jej ręce.

— Bądź że mi więc pan odgad poradą i dobrym znajomym, wymówiła Hrabina ze szczerą serdecznością i obie ręce podała Topolskiemu.

Iskra elektryczna przebiegła całe towarzystwo.

— Dzielnym naszym Topolski! wołano z różnych stron.

— To ozdoba naszej okolicy!

— Z kąd on u licha takiego rozumu nabrał?

— Słuchaj Bolku! niech cię uścisknę!

Znalazł się jednak ktoś niedowierzający, który szepnął do ucha panu Tomaszowi.

— Wszystko bardzo pięknie, ani słowa, ale dla ogółu jakaż korzyść wyniknie ze naszej okolicy będzie miała wszystko co trzeba?

Toć nas garstka mała, panie dobrodzieju gdyby tak w całym kraju urządzono to co innego. Pan Tomasz popatrzył filuternie na mówiącego sąsiada i kręcąc siwego wąsa spytał:

— Czy widziałeś waszmość kiedy jak mrówki usypują sobie mrowisko?...

— Cóż sąsiad dobrodzieju pytasz mię o takie rzeczy! odparł oponent; ja do sasa, a jegomość do lasa. I chciał odejść obrażony. Ale p. Tomasz przytrzymał go za rękaw.

— No, tylko mi waszmość powiedz — widziałeś kiedy mrówki przy robocie, czy nie?

— No, widziałem, i cóż z tego? Z jegomości panie Tomaszu wieczny oryginał...

— Ot widzisz mospanie, ja jegomości chciałem powiedzieć, że każda okolica w kraju powinna być jak mrówka, ściągając gałęzie, ruszać się, pracować, budować, niezważając jak tam inne robią. A te inne zapatrzywszy się na nią, zaczęły to samo robić co i ona a z tego wszystkiego mospanie wyniknie to, że cały naród mrowi zbuduje sobie wygodne mieszkanie.

Sąsiad słuchał, a potem milczał długo i myślał; w końcu rzekł:

— Mądry z wasana człek panie Tomasz choć oryginał.

Wzniesiono opleśniałe butelki ze starym miodem. Proboszcz częstował sąsiadów ulubionym szlacheckim napitkiem. Szlachcie miód zaszumiął w głowach, serca otworzyły się i języki rozwiązały.

Jeden prawił o szkółce wiejskiej, inny o szpitalu, inny jeszcze marzył o natychmiastowym sprowadzeniu młocarni z Warszawy, albo żniwiarki systemu amerykańskiego, albo żelaznego pługa.

— Czy nie postawić mi tylko młyna wodnego, toć u mnie rzeka płynie, a jak na wiosnę rozleje, to woda szeroka stoi jak jezioro! wołał właściciel sporego folwarku.

— Jak sąsiad myślisz, czy na mojem polu nie urodzą rzepak i pastewne trawy? Siana dalibóg u mnie jak szafran! mówił inny.

— Słuchajcie Proboszczu! a sprowadźcie mi tam jaką książkę o hodowaniu pszczoł?

— Pasjami lubię pszczolnictwo, a Bogiem a prawdą nie wiele co znam się na niem!

— Księżo proboszczu! dla nas poezje Syrokomli.

— I Pola!

— I Odyńca! wołały panienki ostępując księdza.

— A nie zapomnicie tam sprowadzić parę powieści naszego kochanego Kraszewskiego! człowiek jak je czyta, to aż serce rozplywa się. Kordecki naprzykład albo Dziwadła to cuda panie nie powieści! ozwał się młody komisarz z dóbr Hrabiny.

— No, a dla jegomości panie Tomasz, co sprowadzić do gustu? spytał proboszcz.

— Ot chyba pismo święte w tłumaczeniu Wójka, odpowiedział po krótkim namyśle oryginał. Proste i zaściankowe, niemniej jednak skąpane w cywilizacji datującej od wieków umysły, zostały w ruch wprowadzone. W sercach ozwała się dawna sejmikowa żyłka i całe zebranie gwarzyło o rzeczach ogólnych z przejęciem się i zapalem.

Wieczór był już niedaleki, gdy w mieszkaniu księdza ucichł gwar gości. W miasteczku długo jeszcze roily się po ulicach bryczki, najtyczanki, szlacheckie staroświeckie powozy; postacie szlachty owinięte w szuby i płaszcze od jesiennego wiatru, który dał i świszczal na placu. Sąsiedzi zachodzili jeszcze na chwilę to do doktora, to do Szłomy, to za interesami do rzemieślników. W końcu, rozjechali się już o zmroku.

Wincunia o zmroku też wróciła do Niemenki.

Weszła do pokoju w którym stała kołyska jej dziecka, i znalazłszy je uspięciem stanęła nad niem blada, zamyślona.

Deszcz drobny dźwięczał na szybach: cicho było, samotnie, tęskno około młodej kobiety.

Dziś, on objawił się jej otoczony poważaniem ogólnym, prostym swem a rozzumnym słowem, wiedzący ludzi na drogę czynu.

W porze w której myśl jej najszybszymi krokami dążyła do rozwoju, stanął przed nią w postaci takiej, jaka najżywiej zachwyca każdą myślącą kobietę, w postaci prawdziwego obywatela.

Stała nad kołyską dziecięcia swego ze skrzyżowanymi na piersi rękami, oczy leż pełne utkwiała w przestrzeń, a usta jej drżały wezbraniem żalu.

Dziecię obudziło się i wyciągnęło ręce do matki, ona pochwyciła je w objęcia i przyciskając silnie do piersi zawołała głosem pełnym łka tłumionych:

— O dziecko moje, czemuż on nie jest twym ojcem!..

V.

## MĘTNA WODA.

Któż kiedykolwiek powie sobie, że serca ludzkie dostatecznie poznać zdoła? Kto w tę głęb przepaści tak jasną pochodnię aby płomień światłości wnikał we wszystkie jej zakątki? Najlepszy człowiek miewa chwile w których fałszywe tony instynktów i grzechów, odzywają się w piersi jego śpiewem syreny, najgorszemu przychodzą jasnovidzenia dobra, a wtedy przed samym sobą zakrywa oczy ze wstydem i żalem. I w tem to właśnie tkwi kulminacyjny punkt dramatu ludzkiego życia. Nie ma straszniejszej chwili jak obudzenie się sumienia, które spało, nie ma zjadliwszego żalu, jak żal po zmarnowanych skarbach i skalaniej czystości ducha. Cienie przeszłości śpią pochowane w grobie niepamięci, czas płynący szybko był im grabarzem nuącym nad mogiłami pieśń hulaszczą lub płochą, ale oto niby widma, grzechy życia powstają zmartwych, a człowiek stanawszy naprzeciw siebie samego z rozpaczą woła: mogłem być inny!

Dla czegoż więc innym się nie staje, skoro tego żąda?

To znowu tajemnica, o którą pytacie głębin ludzkiej natury.

Alboż siła moralna rodzi się i dojrzewa w jednym dniu pragnienia? Nie jestże ona władzą, która jeśli nie wzrasta z człowiekiem, to gaśnie stopniowo aż opuści go całkiem? Czy każdy zdoła przemienić się, kto tego dziś zapragnie? Nie! albowiem w takim razie wszyscy źli byłiby przemienieni w dobrych, bo nie ma między nimi ani jednego, któryby nie miał chwil jasnovidzenia.

Aleksander Snopiński miewał często chwile w których światłość zaglądała do jego ducha, a sumienie przemawiało doń z wyrzutem. Wtedy bywał on bardzo nieszczęśliwy. Pragnął stać się dobrym, a że zła podźwignąć się nie miał mocy. Siła jego moralna nie wzrastała z nim razem i zgasła w próżniactwie, naleciałości błędnego życia zatamowały w nim źródła myśli i uczuć czystych, mimo to czuł że istniały one kiedyś w jego wnętrzu i poczucie to sprawiało mu boleść.

Należał on do gatunku ludzi, którzy zowią się w świecie przyzwoitemi grzesznikami.

Jeśli cię kto zapyta, co ten lub ów człowiek złego zrobił na świecie, zostaniesz zakłopotany i nie będziesz wiedział zrazu jaką dać odpowiedź.

Nie zabił, nie okradł, może nawet nie upija się. Jest przyzwoity i nie ubliża nikomu. Bywa nawet bardzo miły i grzeczny. Mimo to jesteś przekonany w gruncie, że to jest człowiek zły — ale zły przyzwyczajony. Złość jego cała leży w słabości, zbrodni on popełnić nie zdoła, bo i ona także wymaga siły lub ujemnej, ale codziennie obrudza się mnóstwem drobnych grzeszków i nałogów, a wyjść z nich brak mu mocy.

Cała istota przyzwoitego grzesznika, podobna jest do mętnej wody; powierzchnia jej spokojna ale na spodzie pełzają płazy, niekiedy wyrosnie tam na dnie jaka lilija biała, ale wnet uwiednie. Niekiedy promyk niebieski złotawo przejrzy się w jego tonach, ale wnet zamąca go brudny fal szarych. Burz w tej wodzie niema ale męty. Kto z niej napije się nie padnie zaraz otruty, ale będzie mu okliwi i niezdrowo. Krótka widzący przechodzą około mętnej kałuży i mówią: jaka spokojna nieszkodliwa woda! nie dojrżeli w niej mętu i płazów.



Taką duszę podobną do mętnego jeziora miał Aleksander Snopiński.

Był on w ciągłej niezgodzie z samym sobą: to porwał się ku dobremu, to upadał znowu w dawne nałogi i zwyczaj, a im silniejsze było porwanie się ku powstaniu, tem głębszy upadek; niepowodzenie usiłowań drażniło go a nie miał siły odeprzeć pokusy.

Całe życie jego stało się jednym ciągiem żalów a raczej drobnych, bezsilnych żalostek.

Kiedy był z żoną, tęsknił do innych kobiet. Kiedy był z niemi żałował żony, kiedy widział blizką ruinę majątku, rzucał się do pracy, a popracowawszy nieco tęsknił do hulanki z kolegami. Na sali u Szlomy porwały go wyrzuty sumienia, a gdy wrócił do domu, żałował że zbyt prędko opuścił salę. Żałował że w młodości nie nabył więcej nauki, a gdy wziął książkę do ręki, nudził się i odrzucał ją coplej od siebie. Obwinał w myśli Rodziców, że nie dali życiu jego lepszemu kierunkowi, a gdy od ojca otrzymał listowną przestrożę zrywał się i obrażał. Żałował że nie urodził się hrabią lub księciem i że nie był bardzo bogatym, żałował że się ożenił, że pokochał Wincunię i że ją przestał kochać. Były chwile w których sarkał na swoją zbyt młodą, i inne w których żałował go obejmował za ubiegłymi laty. Zdejmowała go obawa, gdy patrzył w przyszłość grożącą jmu niezawodnym ubóstwem, i żałował wydanych pieniędzy, a gdy je miał wydawał je znowu i znowu żałował że je wydał.

Te wszystkie rzucania się słabego ducha, te tysiączne sprzeczności, które nim w głębi miotaly, te co chwilne kaprysy duszy bez hartu i steru, odbiły się w domowym jego życiu. Stał się drażliwym, zmiennym, szyderskim, często chmurnym aż do pośrodku, często wesołym aż do szaleństwa. Hulali z kolegami po całych nocach, a gdy wracał do domu, wpatrywał się w pogodny wschód słońca i lzy zawstydenia płynęły mu z oczu. Nieraz rzucał się do nóg żony, błagał ją o przebaczenie, przysięgał miłość, opsypywał ją najczulszemi pieścizkami, ale tego samego dnia nudził się już z nią śmiertelnie, wyjeżdżał a wróciwszy obchodził się z nią zimno niekiedy ironicznie i twardo.

Wincunia patrzyła na to wszystko a myśl jej rozbudzona i dojrzała w cierpieniu, wniknęła w głębiny ducha Aleksandra. Czytała w jego duszy jak w otwartej księdze a czytając zakryła nieraz oczy z przerażeniem. Dowiadywała się o rzeczach o których nie miała wprzód pojęcia, na istocie najbliższej z nią związanej uczyła się ciemnych tajemnic natury ludzkiej.

Tak upłynęło kilkanaście miesięcy od owego zjazdu sąsiadów u proboszcza i powrotu Aleksandra z domu rodziców.

Na smętnem i jednostajnem tle tego przeciągu czasu, kilka scen dobitnie zarysowało się w życiu młodej kobiety i czarnemi plamami wyrzuciło się w jej pamięci. Raz w pewien dzień zimowy, Aleksander wyjechał z domu według zwyczaju swego, nie mówiąc Wincuni o celu swjej wycieczki. Ale ona wiedziała, że dnia tego u Szlomy na sali obchodzono imieniny jednego z jego przyjaciół. Nadszedł długi zimowy wieczór dla samotnej kobiety, dziecię które cały dzień szczebiotało i bawiło się obok młodej matki usnęło, i zupełna cisza zapanowała we dworcu. Wincunia długo siedziała przy lampie pracując myślą i rękami i wśród zadumy wsłuchując się w jednostajny szmer gaju. Po północy zmęczona myślami i czuwaniem wsparta głową na poduszce kanapy lekko usnęła. Spała a lampa rzucała przyćmione światło na błąd i przezroczystą twarz jej, po której przesuwaly się wśród snu smętne cienie tęsknoty i tajonych cierpień. Na dworze zaczęło już świtać gdy pod gankiem rozległ się głośny po zmarznętej ziemi turkot kół i drzwi od pokoju z trzaskiem się otworzyły. Wincunia nagle zbudzona porwała się z miejsca i zobaczyła wchodzącego męża; postąpiła ku niemu chcąc go powitać, Aleksander spojrział na nią zamglonemi oczami i zawołał prawie ostrym głosem:

— Cóż to Wincuniu? Jeszcze nie śpisz?

Dźwięk głosu jego donośny i gniewny otrzeźwił całkiem pół senną. Spojrzała na niego uważnie i z niepokojem. Policzki Snopińskiego były nienaturalnie zarumienione, oczy mętne i mgliste, włosy w nieładzie. Obawa jakaś ją zdjęła, dziwna a instynktowa.

— Olesiu! zawołała, czyś ty nie chory? co ci jest? Aleksander chciał coś odpowiedzieć, ale język zaplątał się mu w ustach, zabełkotał coś niewyraźnie, drżącą ręką usunął żonę od siebie i niepewnym kro-

kiem zmierzał ku swemu pokojowi. Nim doszedł do drzwi, potracił parę sprzętów i byłby upadł, gdyby dłońmi nie oparł się o ścianę.

Wincunia wiodła za nim wzrokiem zdziwiona, przerażona, gdy drzwi zamknęły się za nim pozostała nieruchoma na środku pokoju.

— Co mu jest? szepnęła do siebie i zamyśliła się. Milezała kilka minut i stopniowo zdziwienie ustępowało z jej twarzy, a występował na nią wyraz świadomości połączonej z trwogą i wstrętem. Machinalnie, wpatrzona w ziemię, złożyła ręce z gestem bołości i zawołała pół głosem:

— Boże mój! on nie był trzeźwy! i dodała także, tak nisko już upadł! ach!

Okropne westchnienie pierś jej rozdarło, podniosła oczy i przez okno ujrzała dzień już jasny i słońce wschodzące. Wydało się jej że dzień wschodzi brudny i mętny a na słońcu wysuwającym się z pod różowego rąbka, dojrzała plamy czerwone, takie jakie szpeciły przed chwilą piękną twarz jej męża.

W kilka miesięcy potem, w piękny dzień letni, Wincunia siedziała w ogrodzie a naprzeciw niej siedział Aleksander, chmurniejszy i bardziej zamyślony niż zwykle. Długo milczeli oboje, od dawna nie mieli sobie nic do powiedzenia. Aleksander pierwszy przerwał milczenie.

— Moja Wincuniu, chciałbym abyś raz przecie złamała klauzulę, w której się zamknęłaś i zaczęła bywać w świecie.

Wincunia nie podniosła wzroku od płótna, które szywała i zapytała łagodnie.

— Gdzieś chcesz abym bywała? Olesiu.

— Wszędzie—porywco odpowiedział Aleksander, teraz zrobiasz z domu istny klasztor, w którym usiedzieć trudno, nie umiesz nadać memu domowi takiej pozycji towarzyskiej, jaką on mieć powinien. Zamknęłaś się u siebie jak zakonnica i stałaś się poważną jak stuletnia matrona.

Wincunia zbladła trochę i kilka sekund nie nie odpowiedziała.

— Olesiu, owała się—ty wiesz że zajmuje się gospodarstwem i dzieckiem naszym, od pewnego zresztą czasu jestem ciągle nie zupełnie zdrową i częste bywanie w towarzystwach męczyłoby mię bardzo.

Brwi Aleksandra ssunęły się, twarz jego zadrgała gniewem i zniecierpliwieniem; powściągnął się widocznie i nieodpowiadając na słowa żony mówił dalej:

— Ot i teraz naprzykład. Hrabina X. od roku mieszka już w swjej rezydencji, o milę tylko od Niemienki, czyż nie mogłabyś oddać jej wizytę i związać z nią stosunek? Gdyby ona bywała u nas, przyniosłoby to zaszczyt memu domowi i zrównałoby nas w znaczeniu z najbogatszymi obywatelami naszej okolicy.

Smutny uśmiech przebiegł usta Wincuni; pochyliła się bardziej nad robotą, aby ukryć przed mężem bolesny wyraz twarzy nad którym zapanować nie mogła, i zwolna odpowiedziała.

— Zdaje mi się Olesiu, że stan naszego majątku nie pozwala nam zawierać stosunków takich, które koniecznie pociągać muszą za sobą znaczne koszty, tembardziej że według twego mniemania, urządzenie naszego domu powinno dorównywać tym, z którymi zabieramy znajomość. Co zaś do zaszczytu jaki by nam przyniósł stosunek z Hrabinią to sądziłabym...

Nie skończyła bo Aleksander porwał się nagle z miejsca i z twarzą pełną gniewu stanął przed nią.

— Tak, zawołał z uniesieniem, widzę teraz skutki nierozważnego kroku jaki uczyniłem żeniąc się z tobą. Dla mnie zupełnie innej trzeba żony! Urodziłaś się i wychowałaś w szlacheckim zakątku, nie widziałas świata a teraz nie umiesz znaleźć się w wyższym towarzystwie i dla tego nigdzie niechcesz bywać. Nie wiem nawet dla czego cię namawiam abyś jechała do Hrabiny, jest to nierozwaga z mojej strony, bo wiem z pewnością, żebyś mi tam wstyd zrobiła... po francuzku nawet mówić nie umiesz. Wiedziałem wprawdzie żeniąc się z tobą że jesteś prosta szlachcianka, ale myślałem że cię wykształcą.. mógłbym być przecie żenić się ze światową kobietą i dziesięć razy majątniejszą od ciebie...

Nie skończył bo z kolan Wincuni spadła robota a policzki jej zapłonęły nagle, łagodne zwykle oczy cisnęły iskrami. Powstała wyprostowana i dumna.

— Czy tak? zawołała głosem stłumionym od wzburzenia, czy do tego już przyszło? ach!

Nie mogła nic więcej powiedzieć, zbladła śmiertelnie i plecami oparła się o drzewo.

Aleksander przelakł się jej bladeści i płonących oczu i rzucił się ku niej. Mętna woda zaszumiła w jego duszy, żałował już że tak boleśnie obraził żonę. Chciał wiać jej rękę, ale ona usunęła go zwolna i patrząc mu w oczy wzrokiem z którego gniew już zniknął, rzekła głosem niezmierniej żałości.

— Aleksandrze, widzę oddawna że mię nie kochasz,—wątpię nawet czyś kiedykolwiek kochał mnie prawdziwie... Powiedziałeś mi w tej chwili słowa, które sercu kobiety zadają ranę bolesną, niezgojoną... przed chwilą gniew wzbudziłeś we mnie i obraziłeś dumę moją ale to przeszło nie guiewam się, tylko jestem bardzo, bardzo smutna, bo czyż może być szczęście gdzie nie ma miłości? Czyż między nami miłość jest możebną? Ale jest jeden węzeł który mię łączy z tobą... dziecko nasze dla niego przebaczam ci wszystko... wszystko przyjmuję z pokorą, smutną przyszłość która mię czeka i nigdy słowa wyrzutu nie usłyszysz z ust moich.

To rzekłszy odeszła zwolna i skierowała się ku gajowi, zkad dochodziły ją wesołe okrzyki i szczebiotanie małej Andzi.

d. c. n.

## Korespondencja z Paryża.

Krzętanina w teatrach paryżkich wielka. Przedawnione i nowe sztuki sypią się gradem na deski sceniczne, choć w tem plew więcej jak pożywnego ziarna. W teatrze opery huczy Rienzi Wagnera: Offenbach śmieży ściągając nieskończone tłumy ciekawych, w Chatelet zaś czarodziejstwo wystawy przynosi widzów w zaczarowane krainy fantastycznych utworów, w których występują drzewa śpiewające, kwiaty gadające, tańczące krzewy, zakłete księżniczki, nimfy najady, gnomy i cały rój skrzydlatych stworzeń, mieniących się jak barwy tęczy w etercznych falach słonecznych promieni. Przedstawienia podobnie fantastyczne, pełne efektu, olśniewają i oszałamiają: wyszedłszy z przedstawienia widz dziwi się że nie ma skrzydeł i że nie może chmurą posłużyć się jak rumakiem. I to coś znaczy, szczególnie dla ludzi nierozstających się nigdy z cyframi, czujących ziemię pod nogami a nie widzących nieba po nad sobą. W powodzi sztuk nowych komedia czteroktowa Henryka Riviere'a p. t. La Parvenue, zasługuje na pewną uwagę.

Główną w niej bohaterką jest Małgorzata córka ubogiego wojskowego, wychowana w klasztorze w zażyłości z bogatymi księżniczkami. Pomimo jednostajności ubioru, nauki, wygód i t. p. w Małgorzacie powstaje zazdrość, zaszczytnych tytułów i bogactwa otwierającego wrota do ziemskiego raj. Uzyskać i jedno i drugie staje się wyłącznym pragnieniem wydziedziczonej, w tym celu sprytem i zręcznością uzyskuje przyjaźń jednej z koleżanek Klementyny dziedziczki herbowej i milionowej. Wyszędłszy z klasztoru, dwie przyjaciółki nie rozłączają się; Klementyna wierzy obłudzie, Małgorzata ufa swjej zręczności. Wkrótce zjawia się młody bogacz hrabia Serrans: dziedziczka sławy wojennej swojego ojca blaskiem urody zwraca oczy młodego magnata: miliony jednak Klementyny przeważają i Małgorzata zostaje opuszczoną. Zawisć, zazdrość pożądanie wzmagają się, a do nich przyłącza się żądza zemsty nad niewinną współrywka. Następuje rozłączenie dwóch mniemanych przyjaciółek, Klementyna zostaje panią Serrans a Małgorzata idzie zastawić siła dla ułowienia bogatego męża. Nareszcie dostaje go w osobie pana Calendel, spekulacje szczęśliwe bogacą go, pieniądź więc został zdobyty, ale zemsta niezadowolona.

Klementyna tymczasem owdowiała, a choć pan Serrans nie był zbyt gruchającym małżonkiem, Klementyna szanując godność swoją odepchnęła ze wzgardą zalecanki niejakiego pana Leris, który zrozpaczony niepowodzeniem pragnąc uczucie prawdziwej miłości pokonać, opuszcza Paryż i jedzie do Ameryki. Owdowiała wkrótce potem Klementyna przypomina sobie to poświęcenie, obudza się w niej żal, wspomnienie potęguje się, z niego wyradza się miłość i pan Leris wraca z dobrowolnego wygnania. Ale cień koniecznie potrzebny w malowidle, zresztą Małgorzata nie miałaby bronii dla zemsty której tak gorąco pragnie. Tym cieniem jest pan Cercey zostający w interesach pieniężnych z jej mężem, a przytem posiadający listy pisane do niego przez Klementynę, zdradzające chwilowe oszłomienie tej kobiety zabiegami zręcznego lwa paryżkiego. Małgorzata listy te nie-



godnie ma sobie oddane; uszczęśliwiona, tryumfująca pokazuje je Klementynie żądając w nagrodę milczenia wprowadzenia w wielki świat salonów paryżkich. Klementyna ulega, rumieniąc się ze wstydu podaje rękę dawniej koleżance, Małgorzata więc zdobyła poważanie i równa swęj rywalce myśli jedynie o rozerwaniu zamierzonego małżeństwa z p. Leris. Sprawa to jednak niełatwa, Leris za nadto kocha Klementynę, aby obmowa, plotka lub fałsz najbezczelniejszy, miały stać się zabójczymi dla jego miłości. Trzeba więc użyć innego środka, oświadcza zatem Małgorzata swęj pogrzebionej ofiarze, że Leris kocha, że nie pozwoli nigdy na to, aby on do Klementyny miał należeć, i że jeżeli go ta sama od siebie nie odsunie, to ona wyjawieniem tajemnicy zdepcze ją w opinii świata. Klementyna poświęca się i przenosząc nienawiść ukochanego nad jego wzdargę, wyznaje Lerisowi że go nie kocha, ale czyni to z taką boleścią, z takim żalem, tak drżą jej usta, a oczy zachodzą łzami, że Leris nie wierzy temu przewidując inne powody których nie może odgadnąć.

W pięknej tój scenie i niezmiernie dramatycznej nagle ukazuje się Cercey: Klementyna zrozpaczona, biegnie ku niemu i każe wyznać tajemnicę, która ją czyni niegodną ukochanego. Cercey wyznaje wszystko, Klementyna pada zemdlna, Leris ją opuszcza, a zemsta Małgorzaty zadowolona. Dramat jednak czy też komedia nie kończy się. Pozostaje jeszcze kara dla nikczemnej intrygantki. Autor w miejsce wyrzutów sumienia, najstraszliwszej męczarni człowieka, wsunął utratę zupełną majątku przez męża Małgorzaty.

W nieporozumieniu z tego tytułu z mężem, po wzajemnych obelgach mąż oświadcza Małgorzacie, że ją wypędza z domu. Oszczędź sobie troski, odpowiada żona, sama go porzucam! — i szybko ku drzwiom postępuje. Z równym pośpiechem mąż idzie ku oknu, przytomny temu Leris, sądząc że pan Calendel chce przez nią z rozpacy wyskoczyć, zapytuje z trwogą:

— Gdzie idziesz z takim pośpiechem?

— Idę przyrzeć się jak ona będzie szła ulicą.

Komedja ta jakkolwiek ma wiele naciągnięcia i niepodobieństw, i jest za rozwlekłą, a więc troszkę nudna, nie jest pozbawioną jednak wartości artystycznej. Autor pragnął w niej wystawić niebezpieczeństwo, choćby najmniejszego błędu u kobiet szanujących się i pragnących poważania, i smutne następstwa zazdrości ubogich ku bogatym. Błędowi też temu nadał dramatyczne znaczenie, zrobił go straszną bronią w rękę zazdrośnej rywalki, która przechodząc od nieograniczonej żądzy bogactw, poważania, do zemsty, nie umiejąc już nad nią zapanować, wpada w ostateczną przepaść i zostaje wygnaną przez własnego męża. Usprawiedliwienie tego okrucieństwa dość zręcznie przeprowadzone, Małgorzata aby się zemścić przyjęła nawet na siebie pozorną zdradę męża, w którą ten uwierzył i zdrajczyni nie przebaczył.

Od lat kilku dziesiątków, Francuzi znacznie postąpili w znajomości literatury zagranicznej, i dziś nie tylko już wiedzą, że Szekspir był Anglikiem, ale że był i genjuszem dramatycznym, jakiemu żaden dotąd nedorównał. Przekład dramatów jego Wr. Hugo, przyjęty z niezmierną życzliwością, stał się główną dźwignią, że Francja rzuciła oczy dokoła siebie i uwrzysła wreszcie że nie jest samotna w pracy piśmienniczej. Obecnie Emil Montegut dał powtórny przekład dramatów Szekspira. Brak w nim może męskiej dzielności, owych granitowych słów, co wpadają w umysł czytelnika, jak kula działowa w mur forteczny, ale zawsze można go nazwać pięknym, często wytwornym, a zawsze wybornie odtwarzającym całą liryczną ich miękkość. Jaka szkoda że u nas dotąd się jeszcze nie zdobyto na całkowity przekład Szekspira. Próbkę były niektóre wyborne, pewne ustępy przesłiznie się udały, ale całe dramata były tylko przedrzeźnieniem wielkiego poety.

Z kwiatów myśli ducha ludzkiego, niewiedzących pod naciskiem wieków, zajrzyjmy na chwilę w krainę rzeczywistego ich istnienia. Na południu Francji, a głównie w Prowancji, uprawiają się ich całe łany jak owsa lub rzepaku. Hodują tam kwiat pomarańczowy, różę, jaśmin, rezedę, geździki, hyacynth, żakill, kassję, macierzankę, geranie, rozmaryn, lawendę, słowem wszystkie znane gdzieindziej tylko z doniczki, kłębów ogrodowych lub oranżerji. Niektóre posiadłości miewają po sześć i więcej tysięcy drzew pomarańczowych, zbiór kwiatu odbywa się w Maju i w obecnym czasie, i dla okolicy staje się prawdziwą

uroczystością, w której wszystko co żyje współuczestniczy. Kwiat z nich obrywa się ręcznie, łany zaś z rezedą, lawendą, rozmarynem i t. d. koszą się jak siano. Kiedy wszystko to zakwitnie, woń przepelnia całą przestrzeń, wciska się z zagród wiejskich do pomieszczeń, idzie w dalsze okolice i odurzając przemienia całą Prowancję w ocean pachnidła nie lękający się lekkich powiewów płynącego powietrza.

Zbiór upakowany jak najstaranniej, wyprawiany zostaje pospiesznie do miejscowych fabryk, bo lotność woni jest tak wielką, że każda sekunda czasu pobiera z niego bezpowrotną daninę i to z najeterniejszych składających ją pierwiastków.

Wyciśnięte olejki celem ostatecznego oczyszczenia przesyłane zostają do paryżkich dystylarni, które urządziwszy je jak przynależy, pod własną firmą rozsyłają na wszystkie strony świata. Cena tych ekstraktów zmienia się stosownie do obfitości zbioru: najdroższy bywa z rzadkiego gatunku pomarańczy zwanej Neroly Bigarrade, gdyż litr jego blisko półpięty naszych kwaterek obejmujący, płaci się zwykle czterysta franków. Inne ekstrakty bez porównania są tańsze i sprzedają się na funty po 10 do 12 franków, a ponalewane w ozdobne flakoniki przystrojone winietkami, napisami i eleganckiem zakorkowaniem dochodzą do bajecznej ceny, często sto razy rzeczywistą wartość przynoszącej. Niemala równie jest korzystnie uprawiających kwiaty. Hektar ziemi daje im od pięciu do 25,000 franków rocznego dochodu.

## Kronika teatralna.

Panna de Belle-Isle, dramat w pięciu aktach, Aleksandra Dumasa (ojca), z francuzkiego tlómaczony.

Po dwudziestu z górą latach snu letargicznego jakim zasnęła w archiwach sceny naszej *Pana de Belle Isle*, ocknęła się w sam pierwszy dzień listopada pod czarownym technieniem talentu pani Modrzejewskiej. Jest to już druga sztuka *nowa*, w jakiej w obecnym sezonie teatralnym artystka ta wystąpiła od 17 Września, a więc po siedmio-tygodniowej przerwie. Jeśli sztuki nowe będą tak galopowały jedna za drugą, to reżysserowi temu nie starczy i nowy repertuar wkrótce się wyczerpie. Teraz to sobie łatwiej wytlómaczyć można zupełne zaniedbanie teatru Rozmaitości. Jak tu można o nim myśleć kiedy całą czynność wyczerpuje teatr Wielki, na którym aż dwie (!) sztuki nowe ukazują się w ciągu siedmiu tygodni.

*Panna de Belle-Isle* ukazała się aby przekonać, że przy dobrej woli autora byle awantura może się zatytułować dramatem, a nawet mieć sceny dramatyczne: takich awantur scenicznych dużo napisał ojciec Dumas, zajmują one póki kortyna nie spadnie, a potem myśl daremnie szuka do czego się przycepić. *Panna de Belle Isle* ma przynajmniej tę zasługę, że jest czulszą, żywszą, skandaliczniejszą od innych, i dlatego nie powinniśmy obawiać się o jej powodzenie. Najważniejszym w niej czynnikiem dramatycznym jest klucz (ów klasyczny klucz francuzkiej dramaturgji od ukrytych drzwi) i przysięga; dwie te rzeczy, jedno o drugim nie wiedząc, w ciągu dwóch dni o mało nie spowodowały nieszczęścia, bo nawet śmierci dwojga najzacniejszych istot. Na szczęście że się nad ich głowami zaważyło ministerjum francuzkie, i pomiędzy ruinami znalazła się droga do wyjścia, — to trzeci czynnik dramatyczny. Dłużej mówiąc. Gabryela de Belle-Isle, dziewczica szlacheckiego rodu ale parafianka, pełna zacności i serca, przybyła do Paryża by uwolnić ojca i braci z Bastylli, i znajduje protekcję dwojga osób: Margrabiny de Prie, damy wpływowej na dworze, jednej z jawnogrzesznie ówczesnych, oraz kochanka jej, młodego wiec trznika, księcia Richelieu. Rzecz więc nie naturalna, że Raul d'Aubigny, przyjaciel Gabryeli z lat dziecińczych, narzeczony którego ona ma za trzy dni zostać żoną, nie może czy nie chce dać jej lepszych informacji, wprowadzić w lepsze znajomości, uprzedzić o niebezpieczeństwie podobnych stosunków, choć jest porucznikiem gwardji królewskiej. Dość że Gabryela przyjmuje mieszkanie u Margrabiny, gdzie bywa również jej narzeczony. Skutkiem zakładu, Richelieu obowiązuje się w obec Raula mieć schadzki z Gabryelą w jej własnym mieszkaniu, w porze nocnej, i jako dowód wyrzucić bilet z okna na ulicę w ręce Raula,

czy świadków. Raul, trzymając się praw zakładu nie wspomina Gabryeli o tem bezceństwie, ale wymaga na nią słowo, że Ryszelięgo nie przyjmie w żadnej porze. Ale tu Margrabina łamie szyki. Uwiadomiona o zamiarach Ryszelięgo i chcąc mu zrobić na schadzki do Bastylli, dla widzenia się potajemnie z ojcem. Ale krok ten, w którym przewodniczyć ma komendant twierdzy, jest tak niebezpiecznym, że Margrabina wymaga od Gabryeli najuroczystszej przysięgi, iż nie powie nikomu, gdzie była, dopóki książę Bourbon, nieprzyjaciel rodziny Belle-Isle, będzie ministrem: w radości swęj nieszczęśliwa dziewczica wykonywa przysięgę. Otoż wszystko ułożone jak najlepiej by schadzka Ryszelięgo chybiła i okryła go śmiesznością. Ale ten diabeł wielony był wyraźnie pod opieką bożyszczka schadzek. Kiedy Margrabina, kazawszy pozamykać wszystkie wnijsia zamkowe, ubezpieczona dostatecznie, zostaje sama w pokojach przeznaczonych dla Gabryeli, Richelieu nie mogąc się dostać, bierze klucz od ukrytych drzwi, któremi niegdys zawsze wchodził do Margrabiny, i przezeń wchodzi do pokoju gdzie spodziewa się zastać dziewicę. Wszedłszy po ciemku, wyrzuca z okna bilet z okna, bilet, który wpada w ręce oczekującego Raula. Margrabina widzi to i powiada sobie, że nie ma co robić przeciw takiej fatalności, — tylko trzeba się *cicho sprawić*; słowem przyjmując położenie jakie jest, i cicho się sprawiając zatrzymuje Ryszelięgo do rana.

Richelieu, jak widzimy, dał sobie czas, a z tem wszystkiem tak oślepił i ogłuchł (prawda, że to było w nogy), iż pewnym był że zostaje z Gabryelą. A co, czy to nie budujące, czy nie dramatyczne? Naza jutrz, oczywiście Raul wpada do Gabryeli z najstraszniejszym wyrzutami, z przekleństwem i pogardą a biedna dziewczica, zdradzona kluczem, związana przysięgą (!), nie może mu się usprawiedliwić. Chciałaby, ażeby Margrabina w tym strasznym razie nwołniła ją z przysięgi, ale Margrabina (bardzo naturalnie) wyjechała. Śmieje się Raul, a w tem anonsują Ryszelięgo. On więc sam zezna że nie widział Gabryeli, Raul skryje się i wysłucha ich rozmowy. Oczywiście Richelieu, sądząc że jest sam na sam z Gabryelą, jeszcze bardziej psuje jej sprawę, słuszne oburzenia jej uważa za komedję, i znalezieniem się swem jeszcze bardziej potępia niewierną kochankę. Ztąd ostateczna rozpacz jej i Raula, który odpycha niegodną. Ztąd niedoszły pojedynek jego z Ryszeliem, i tyścienne jeszcze perypetje, aż przecie Margrabina wyznaje Ryszeliemu prawdę, a z drugiej strony minister de Bourbon upada, i rzecz się układa dość wczesnie by wstrzymać dwoje kochanków na granicy grobu.

Otoż to jest szkic tój skomplikowanej budowy, która z całym swoim składem i wiązaniami, trzyma się na patyku; nie ma w niej ani jednego naturalnego motywu, wszystkie one są za uszy ciągnięte ko perypetjom. Ale jak raz już je autor przyciągnął, przyznać trzeba że potrafił korzystać z sytuacji. Sceny wzięte odrębnie, bez pytania zład przyszy, mają rzewność i potężną siłę. Bo też Dumasowi ojeu można zarzucić brak myśli, ale przyznać mu trzeba w ogóle wielki dar obrazowania, wielką uczuciowość. On pod tym względem stoi w odwrotnym stosunku ze swoim synem, który przy dowciwnych a głębokich założeniach, zimno i ponuro idzie do rozwiązania, i więcej może zadowolnić myśliciele niż poetów.

Jak też szczęśliwie potrafiła skorzystać p. Modrzejewska z tych zalet obrazowania Dumasowskiego *Panna de Belle-Isle*, jako rola, jest jedną z wdzięczniejszych, choć może to jej przeszkadza, że zanadto od samego początku nastrojona jest aż niemal do końca na ton minor. Musi to nużyć artystkę, bo i słuchacza nieco nuży. To też z widocznym zadowoleniem, jakby z przyjemnością spoczynku, chwytala artystka rzadkie chwile uradowania i wesołości, jakimi ją tu autor obdarzył, i mówiliśmy sobie w duchu, jakież to szczęśliwy ten ojciec, choć w więzieniu, którego córka tak raduje się na wieść, że go choć chwilę do serca przycisnie. Jeżeli przy oddaniu boleści w scenach z Rauliem, bywały chwile w których aktorka wyglądała z po za kobiety, za to w określeniu miłości swęj dla narzeczonego p. Modrzejewska tak szafowała uczuciem i prawdą, że aktorka znikła ze sceny. Już to w ciągłym przebiegu gry p. Modrzejewskiej uważaliśmy, że nie patos tragiczne jest najwyższym punktem jej sztuki, ale rzewność, czułość, — prostota.

P. Tatarkiewicz w roli Raula d' Aubigny pierwszy raz podobno wystąpił na tak szerokim polu, i ze



wszystkich warunków jakich rola tego rodzaju wymaga, widzieliśmy w nim jeden tylko uzupełniony. to jest szlachetność. Spełnić ten warunek jest to już wiele jak na młodego zwłaszcza artystę; ale to nie dosyć. P. Tatarkiewicz, jak na poręcznika gwardji, mniejsza oto, jak na bohatera dramatu, jest nieco za miękki, za kobiecy; i zdaje się nam, że to jest właściwością jego natury, którą trudno, a nawet niepotrzebnie byłoby mu przerabiać. Są charaktery rol, po większej części w komediach, gdzie właściwość ta jest wiele przydatną i tam też p. Tatarkiewicz jest jakby zrosły ze swym charakterem. Energia, zapal tragiczny, to znów właściwości ducha innego rzędu, które osiągnąć, które dłużej utrzymać nader trudno temu, kto nie może wywołać ich z natury swego temperamentu, dopiero sztuką dorabiać ich się musi. W roli Raula, w scenie z Gabrylą aktu trzeciego, przy wyrzutach i naleganiach, potrzeba mnóstwa umiejętności przejść aż do słowa, kiedy Raul powiada o Ryszeliem, *ja jego zabiję*. To słowo powinno być uderzeniem maczugi wstrząsającym całe audytorium; a iżby było takim trzeba zwolna, stopniowo, poprzedzającymi tyradami przygotowywać w słuchaczu to wrażenie, usposabiać go do tego wybuchu. Cały ten ustęp, najważniejszy w dramacie, oddany był przez p. Tatarkiewicza, szlachetnie, rozsądnie, ale nieco zimno; w piersi jego czuć było ogień, zbrakło mu go w głosie i na ustach. p. Tatarkiewicz zanadto jest artystą, zanadto wiele ma zasług na scenie naszej w wielu innych odcieniach sztuki dramatycznej, ażeby tę uwagę naszą brał sobie za ujmę. Pani Nie-wiarowska rolę swą oddała z właściwym talentem, a dokładnem pojęciem charakteru osoby przedstawionej.

X.

### Wiadomości miejscowe.

**Przedstawienia pana Krosso.** Zwykle zwane naukowe, pod tym nawet pozorem zachwalane i zachęcane przez tych, co mają do tego pewne prawa i obowiązki, ukończają nareszcie szereg swych przedstawień, a raczej wyzyskiwać ciekawości publicznej. Dla czego przywłaszczyły sobie tytuł naukowych, trudno pojąć, bo jeżeli z przebąkowania w pierwszej ich części coś o astronomji, planetach, słońcu, gwiazdach i księżycu, to w takim razie każde przedstawienie publiczne nazwałoby należało naukowem, nawet figury woskowe i różne łamańce skoczaków na linie. Tu jednak był pozór nadania im tak poważnego miana, a i to coś znaczy.

Ze z przedstawień tego rodzaju mogłaby spłynąć niemala korzyść naukowa, na publiczność łaknącą widowisk, a niewiele ze ścisłą nauką zbratanych, to niepodpada żadnej wątpliwości. Zabrać się jednak do tego należy inaczej jak to p. Krosso zrobił, z większą starannością, z większem przygotowaniem a przede wszystkim z lepszym zasobem odpowiednich wiadomości. Pierwsza bowiem i druga część poświęcona niby astronomji, cóż zawiera?

Oto trzydzieści dwa obrazków, wybranych na chybił trafił, nie stanowiących z sobą ani ścisłego związku, ani logicznego następstwa, źle objaśnionych, niedokładnie, niezrozumiale a obficie naszpikowanych częścią deklamacją. Przytem objaśnienia te nie obejmujące żadnych nowszych zdobyczy naukowych, widocznie napisane były przed pół wiekiem, na pręde, pospiesznie, podobnie do podpisu pod każdą zwykłą ryciną u spodu pomieszczonego. Czyż więc mogą czego nauczyć a nawet chwilowo zająć i zabawić?

Najnudniejsze też dwie pierwsze części przez publiczność, przyjmowane są z widocznym znużeniem. Ani jeden nawet oklask tak łatwy w wyższych sferach, nie nagradza przedsiębiorcy. Widz obznajomiony z przedmiotem, gniewa się na braki wychylające się z niego co chwila: nieznający go a pragnący się czegoś nauczyć, również się gniewa, bo czuje że się niczego nie dowiedział, i tak samo jak był został nieświadomym. Z mieszanych obrazków z których większa połowa ziemi i księżycowi jest poświęcona, chciałyby coś schwycić i zatrzymać w pamięci, próżne starania, obraz zniknął, a brzęk słów niby objaśniających, umilkł zastąpiony uporeczywą ciszą patrzących. I cóż widz z tego skorzystał? Nic w całym tego słowa znaczeniu.

Mogłoby jednak być inaczej, ale też inaczej zabrać się do tego trzeba.

Przedewszystkiem należałoby usystematyzować

obrazki, nadać im pewny związek, przygotować je staranniej i zrobić prawdziwem objaśnieniem, zwiększłem a jednak wyczerpującem przedmiot. Niełatwa to sprawa, ale zrobiwszy to, łatwiej potem domagać się rubli i pięciotłotówek za bilety wejścia, jak to oznaczył p. Krosso, przed obniżeniem ceny na swe widowisko. Nadto obrazki te powinny być zupełnie inne, uplastyczniające a nie bałamucące uwagi widza jakimś tam niby naukowemi kołami. Zacząć należałoby od ziemi, jej stosunkowej wielkości do słońca i księżyca, przedstawić jej obrót, zaćmienia, inne planety, następnie wskazać bieg komet, nowe przypuszczenia co do ich natury, a później przejść do słońca, jego atmosfer, plam według postrzeżeń świeżo dokonanych i skończyć na gwiazdach według porządku astronomicznego od najjaśniejszych aż do mgławisk mikroskopowych. Takie obrazki wysuwające się systematycznie jeden po drugim, objaśnione przytem jak należy, z pewnością przez żadnego z widzów nie zostałyby zapomniane i światlejszych zajęłyby uplastycznieniem teorii zawsze ciekawem, mniej oświeconych korzyścią jaką by z widowiska odnieśli. Tak zaś jak p. Krosso przedstawiał, jest to chaos, w którym uwaga błąka się, a nigdzie nie znajduje punktu oparcia.

Oddział trzeci najobfitszy bo aż 23 obejmujący obrazków, poświęcony jest podróży Franklina do bieguna północnego. Mogłby on być jako tako interesującym, gdyby obrazki były udatniejsze, obejmowały sceny więcej dramatyczne i objaśnienie nie było luzną gadaniną, ale więcej się niemi zaprzętało. Tu najczęściej dzieje się przeciwnie i obrazek jest od Sasa a objaśnienie do lasa. Widzowie jednak zadowoleni że przecie coś, zaczynają pojmywać, dają znaki życia i tu i owdzie podnosi się oklask, przypominający kwiatek przypięty do brudnej siermięgi.

Oddział czwarty poświęcony widokom z podróży po różnych stronach świata, ciekawy jest tylko grą światła, księżyca, słońca i zwyczajnego ziemskiego płomienia, które na przemian w niektórych obrazkach posługują do jego oświetlenia. Zajęcie też w widzach wzmaga się, oklaski powiększają się a nawet czasami dosyć sprawiają huk, szczególnie w ostatnich dniach dawanych przedstawień, gdy zimno na wskroś przejęło ręce i nogi zgromadzonych.

Piąty wreszcie i ostatni oddział daje obrazy rzeźb, komicznych figur i czarownej, jak afisz powiada, gry kolorów. Byłby to może jeden z najzabawniejszych oddziałów, gdyby rzeźb było więcej, komiki więcej komicznej, i gry kolorów bardziej czarownej. Mimo tego przy każdej zmianie, szmer zadowolenia porusza ustami zgromadzonych, oklaski mnożą się, tupanina powiększa a gdy nagle oświetlenie amfiteatru wyda znak rozjęcia się, z pewnością każdy podnosi się z miejsca z wielkiem zadowoleniem, że się raz przecie te nieznośne nudy skończyły.

Astronomja zatem była tu tylko przyczepką, wędką na łatwownych, szumną odezwą do publicznej ciekawości. Z lichemi widokami i nędznemi obrazkami niepodobna było dawać przedstawień o ruble potrącających, więc należało je ozłocić naukowem pozorem, zyskać prawo do protekcji, do zachęty a tem samem i do rozgłosu. I udało się to jakoś, wprawdzie nie szczególnie, ale teraz i najlepsze przedsiębiorstwa nie doznają wielkich powodzeń.

Z opisem tym przedstawień p. Krosso spóźniliśmy się cokolwiek, ale byliśmy pewni że nas uprzedzą inni, więc do tego obowiązani. Nie zrobiono tego, niechże więc ta musztarda po obiedzie, będzie przestroga dla miast prowincjonalnych, jak mają uważać szumnie utytułowane przedstawienia p. Krosso. Gdyby wreszcie wymagano za nie dziesiątek i złotych, byłoby to jeszcze jako tako, samo prawie, ale rubli i półrubli to troszkę za śmiało.

### OBRAZY

NA WYSTAWIE ZACHĘTY SZTUK PIĘKNYCH  
w Warszawie

pp. Horowitz. — Kossak. — Kotsis — Schoupe. —  
Breslauer. — Gumiński. — Rurawski.

Oprócz Goralia p. Horowitza z jak potulną obojętnością siedzącego pod ścianą, że aż bierze ochota spytać się, co tu robisz Goraliku? Uciekaj, chłodno

i śnieg pruszy, czyż czekasz aż zmarzniesz? Oczyszcz oprócz tego prawdziwie pięknego obrazku, są jeszcze inne dwie prace na Wystawie tego zdolnego artysty. W jednym p. t. Bezwiedna Zalotniczka jest przedstawiona sześciolatnia dziewczynka, siedząca na stole i z zajęciem przeglądająca się w małym lusterku. Włosy zaczesane w górę, podtrzymywane opaską, jedyne stanowią przystrojenie dziewczynki, bo zresztą oprócz koszulki spadającej z ramion, źle osłaniającej piersi i nóżki, widne aż po kolana nic więcej jej nie okrywa. Domyślać się więc należy, że dziewczynka tylko co z nocnego powstała spoczynku, że pierwszą jej myślą było przyjrzeć się buzi, czy ładna, czy czem nie oszpecona, czy z tych oczek trysna kiedyś płomieniste spojżenia, rzucające nawet Samsona do nóg zdradnej Dalili. Opaska to ozdoba już własną jej rączką włożona, dla tego nieład we włosach choć bezwiedny ale niezmiernie zalotny. Dywan troszkę zblakły, troszkę wyszarzany, na którym siedzi, jakieś przybory pracy kobiecej rozpostarte na nim, oddane z wzorową starannością, z zachowaniem właściwego kolorytu, jedne tylko nóżki a raczej stopki dziewczynki zdają się chybić w rysunku, i są za krótkie.

Drugi obrazek Bakałarz, przedstawia wnętrze izby żydowskiej, w której belfer odbywa lekcje z małym chłopczyką. Po za nim przy drzwiach samych, drugi uczeń, pokrzepiając się zapewne po świeżo przebytej operacji naukowej, śpi w najlepsze w rozkosznej bezwiedzy swego stanu. Więcej szczegółów nie pamiętamy, bo obrazek po krótkim pobycie znikł z Wystawy. Co się z nim stało nie wiadomo, na przypuszczenie że został sprzedany, jeden z miejscowych woźnych z największem zdziwieniem odrzekł:

— Ej! żyda miałby tam kto kupować!

Bakałarza tego jednak kupiłbym chętnie tyle w nim prawdy, życia i naturalności w całej kompozycji i jej układzie.

Pana Kossaka Omnibus i Pocztyljoni, nie grzeszą ciekawością pomysłu. Na zbiegu Nowego-Swiatua z aleją Jerozolimską, powożący omnibusem stara się dwie wchudłe szkapy zatrzymać pchane biegiem ciągniętego przez nie powozu. W chwili kiedy mu się udało nareszcie to zrobić, i konie z wysiłkiem jeszcze ciągną w tył naszelnikami, z otwartego powozu wysiada młoda elegantka, z nogą na przód wyciągniętą, w której nowy bucik zgrabnie odznacza piękne jej kształty. Przy drzwiach stoi konduktor żydek, z miną najobojętniejszą w świecie, w postaci wyprostowanej choć ugrzecznionej, niedbałością ubrania zdający się walczyć o pierwszeństwo z przystrojem furmana.

Drugi obrazek mniej jeszcze zajmujący, przedstawia bryczkę pocztową posuwającą się zwolna traktem bitym, w której dwóch pocztyljonów, jeden siedzący na koźle plecami do koni zwrócony, drugi na tyle bryczki grają z wielkiem zajęciem w karty. Konie korzystając z zabawki swych przewodników, wleką się o ile można najwolniej, z widocznymi oznakami zmachania przyspieszonego poprzednią jazdą. Jeden nawet luzem idący ma ochotę przystanąć, ale jako wierny kolega pociąga nogi jak może za swemi towarzyszami, choćby chętnie ugryzł gdzie trawy lub chlepnął wody na którą sumiennie zasłużył. W pierwszym obrazku ładna Warszawianka nęci oko widza, tu brak wszelkiego zajęcia. Pocztyljoni zdają się być tylko koniecznym dodatkiem a nie głównymi figurami, zwłaszcza że u jednego widać tylko plecy, nie przedstawiające nic malowniczego. Gdyby droga bita więcej była wyraźna, a krajobraz lepiej opracowany, przeciw wykończeniu tego obrazka nie byłoby do nadmienienia.

Wnętrze chaty p. Kotsisa przedstawia scenę bardzo smutną. W izbie włościańskiej na prostym tapczanie leży kobieta ciężka złożona niemocą, której ułożenie więcej ją robi podobną do umarłej jak do żyjącej. Mały chłopaczek najwyżej czteroletni przytula się do chorej matki, pragnąc wybrać ostatni pocałunek, obok zaś niego stoi znacznie od niego starsza dziewczynka z twarzą zwróconą do widza, płacząca z niezmierną rzewnością, jakby przeczuwała że niedługo zostanie sierotą. W izbie biedno i chłodno, na boku siedzi niemłody włościanin w kożuchu zarzuconym na plecy, przygarbiony, skulony, ze spokojnem poddaniem się nieszczęściu jakie chatę jego nawiedziło. Włościanin ten najlepiej oddany w twarży, w ubraniu widać prawdę, schwyconą żywem z natury. W obrazku drugim tego artysty Pobór do wojska kompozycja wyborna, ale w wykonaniu brak dobrej perspektywy, która tym widomięj się



przedstawia, że osób mnóstwo natłoczonych na obrazku. Z bramy ratusza jakiegoś miasta w Galicji, wychodzą nowozaczejni poprzebierani już w mundury pułków do których zostali przeznaczeni. Matki, bracia, siostry i ojcowie żegnają się z niemi z dobrze oznaczonym, przejmującym ich uczuciem. Z okna na piętrze wygląda twarz urzędnika, ponura, obojętna, na samym zaś przodzie rzeźnik pędzi ciele do szlachtuza a garbusek z szyderstwem uśmiecha się, pierwszy raz może w życiu cieszący się ze swego kalectwa.

Z krajobrazów do ładniejszych należą: Łomnica p. Schouppogo: krajobraz Norweskki p. Breslauera i Okolica nad Narwią przy zachodzie słońca p. Gumińskiego. Z trzech więc różnych stron rozdzielonych znacznym oddaleniem, zdjęte zostały widoki tym ciekawsze, że w zestawieniu dobrze uwidaczniają charakterystyczne miejscowości. Nad Łomnicą p. Schouppogo u stóp której wiją się dzikie przepaściste parowy, unosi się mgła właściwa karpackim wyżynom. Przez delikatną jej tkaninę promienie słoneczne gwałtem się chcą przecisnąć, ale masa mglistą nie dopuszcza im tej swobody, więc rozlewają się w przestworzu, w barwę lekko purpurową, którą fale gęstsze od dołu płynące starają się zniszczyć i zalać. Pomimo tej zasłony powietrznej, szczyty gór przegładają przez nią, co delikatność całej pracy jeszcze lepiej uwidacznia.

W krajobrazie p. Breslauera pomiędzy górami pędzi bystry potok, przebywając z szumem napotykaną przeszkodę. Przy samym jego końcu znajduje się mały młyn zwany pływakiem czy coś podobnego, a nad górami unosi się także mgła ale już nie gazowa jak nad Łomnicą, tylko ciemna, cięższa i bardziej gęsta, bez przejrzystości tak wybornie oddanej przez p. Schouppogo. Kraj to zimny, północny, mgliste w nim wyziewy widocznie nie lekają się słońca i tylko ulegają silniejszemu podmuchowi wiatru, który rozdarłszy ją w kilku punktach, odsłania części niektórych wyniosłości. W obydwóch tych obrazach choć się znajdują ludzkie postacie, nieruchome jednak bez wybitnego znaczenia mało przyczyniają się do ożywienia przedstawianych okolic.

W trzecim wreszcie p. Gumińskiego: Okolica nad Narwią. Narew wiję się modrym szlakiem, płynąc pomiędzy brzegami lekko wzniesionymi: przy załamaniu prądu, gromadka krzewów z pośród której wyskakuje jakieś drzewo, wysuwając się na przód jak półwysep, zasłania zachodzące słońce tryskające jeszcze z całą mocą blaskiem swęj ognistej tarczy.

Blask ten wybornie oddany, na tle jego ślicznie odznaczają się gałęzie krzewiny i drzewa, ale brak im w skupieniu przejrzystości, przez co zwartość ich robią nienaturalną. Zachodzące pogodnie słońce zanadto silnie świeci, zanadto szczerze rozrzuca promienie, aby te przez gromadkę krzewów, przypadkiem przy brzegu wyrosłą, nie mogły dla siebie znaleźć przejścia i nie błysnąć tu i owdzie. W cieniu przed krzewiną przechadza się dwóch bocianów, mających niby stanowić ożywienie obrazu. To cokolwiek zamało, szkoda że artysta nie pomyślał o jakiejś łódce z rybakami, berlince lub tratwie z kilku flisakami.

Ustronie dumek p. Rurawskiego, nie jest właściwie widokiem, a tymbardziej krajobrazem. Jest to po prostu wyrwany szmat z puszczy leśnej, środkiem której biegnie nie linja leśna, ani też droga i nie wyręb także, a jednak rozdział jest wyraźny na dwie połowy, na którym widać jakiegoś węłrowca, ucieszonożego zapewne znalezieniem miejsca w którym podumać może. Dla czego jednak nie inne, do tak poetycznej czynności ducha wybrane zostało trudno odgadnąć. Wprawdzie w oddaleniu nad opróżnionem miejscem, unosi się lekka mgła niby jakieś wspomnienie z dalekiej przeszłości, ale to tytułu nie usprawiedliwia. Dziwny ten obrazek ma jednak zalety pokazujące większy talent artysty w wykonaniu jak kompozycji. Liście, gałęzie i krzewy, cokolwiek zaciężkie, bardzo jednak dobrą mają perspektywę. Oddalenie i bliskość starannie odznaczone, szczegóły dobrze uwydatnione, słowem obrazek jest wcale udatny ale... nie bardzo ponętny, choć pracowity i nie na byle zbyć przygotowany.

#### O U B I O R A C H.

Dzisiejsze spawozdanie poświęcimy sukniom i kostiumom, których modele zakupiły panny Kuhnke w Paryżu.

Suknie długie powłóczyste używane są wyłącznie do strojnego ubrania, na wieczór lub objad proszony. Wizyty nawet ceremonialne oddają się zawsze w kostiumach. Ztego to powodu kostiumy dzisiejsze zwłaszcza wizytowe powinny być do samej ziemi, tak żeby nogę całkiem przykrywały. Na ulicę szczególniej na błoto używane cokolwiek krótsze, w każdym razie jednak kostium zbyt krótki zupełnie nie używany.

Suknie balowe dla młodych osób na nadchodzącą zimę, mają także sięgać tylko do ziemi, pochwalamy bardzo tę modę, bo nic nieznośniejszego, jak suknie płacząca się za każdą tancerką, narażona na tysiące wypadków i nadeptań. Meżatki zwłaszcza starsze pozostaną przy sukniach średnio powłóczystych.

Do przybrania tak sukien jak i kostiumów używane dotąd falbany i falbanki rozmaitej szerokości. Nowość w nich stanowi naszytka aksamitką czarną lub też koloru sukni, częstokroć w ciemniejszym odcieniu. Niektóre kostiumy zamiast falban przybrane tylko plisą aksamitną rozmaitej szerokości. Wogóle aksamit przyjęty do wszystkiego.

Strojne suknie z bawetem należą do najmłodniejszych. Stanik wysoki rozdziela się trochę na piersiach, wkoło wykroju idzie nafałdowana w górę falbanka z materji zwana *col medicis*, z pod niej zaś wychodzi walansienka lub gipiura, tej samej szerokości. Rękawy cokolwiek rozszerzone u ręki przybrane bywają odpowiednio.

Pelerynki rozmaitego kształtu, bardzo modne tak do okrywek jak niemniej do kostiumów. W ogólności pelerynki te wążkie na ramionach, z tyłu przechodzą w ząb poniżej stanu i zastępują tym sposobem kokardę, z przodu również są przedłużone, zakończone spiczasto. Obszywają je w koło plisą, wodą lub pasmanterją, a najczęściej frendzlą.

Do przystrojenia sukien i wizytowych kostiumów przyjęte bardzo kokardy aksamitne, przeciągnięte przez klamrę metalową. Takie same kokardy z klamrą dają dziś na kapeluszach.

Salopy do futra tegoroczne mają krój paletotowy. Rękawy u nich węższe lub szersze według upodobania obszyte plisą aksamitną rozmaitej szerokości. Kołnierze futrzane średniej wielkości. Mufki w ogólności bardzo małe. Młode osoby do salop podobnych futrem noszą tylko krawatki futrzane, w takim razie daje się przy salopie mały kołnierzyk z wierzchniego materiału.

Po tych ogólnych uwagach damy tu opis czarnej sukni jedwabnej, w nowem zupełnie rodzaju.

Spódnica powłóczysta miała z przodu oznaczony krótszy fartuszek zaokrąglony po bokach, objęty w koło plisą. Fartuszek ten przytwierdzony był trzema aksamitnymi rozetami, z tych jedna dana u dołu na przodzie, dwie zaś po obu stronach bliżej stanu. Cały tył zaczawszy od boków, równie jak przód wychodzący z pod fartuszka, naszyty był w odstępach czarną aksamitką szeroką na cal. Stanik wysoki z bawetem, przybrany był aksamitem na wykroju. Rękawy nie szerokie całe naszyte w podłużną aksamitką. Z tyłu stanika szła kokarda *gros grains*, końce jej nie długie, naszyte były również aksamitką w ukośnym kierunku.

Inna suknia popielata poult de soie, miała przód *en tablier* naszyty w poprzek falbankami marszczonymi, nad każdą falbanką szła plisa aksamitna czarna. Z boków i z tyłu, pomiędzy bryty wpuszczona była szeroka plisa czarna aksamitna. Stanik przystrojony aksamitem, równie jak i rękawy. Osobny stanik wycięty miał bertę aksamitną ogarniowaną koronką chantilly.

W ten sam sposób można przybrać suknię długą, lub kostium wizytowy. Do kostiumów wełnianych może służyć na plisy półaksamit w dobrym gatunku.

Magazyn pana Penkali w tym roku bogato zaopatrzone w futra wszelkiego gatunku, wyrabia ubrania podobne niemi na zamówienia.

Salopa podszyta lisami sybirskimi z pokryciem wełnianem kosztuje tu od 80 do 120 rs.

Takaż salopa kryta jedwabną materją wyniesie od 100 do 200 rs.

Lisy krzyżaki z pokryciem od 100 do 200 r. Salopa podszyta popielicami z wełnianem pokryciem rs. 80. Oprócz salop gotowych są także w błamach i sztukach

tumaki kamienne i borowe, sobole sybirskie i amerykańskie, gronostaje, lisy, popielice, bieliski itd.

Ceny garniturów składające się z kołnierza i mufki są następujące tumakowy od 35 do 60 rs.

Sobolowy od 55 do 200 rs.

Gronostajowy od 25 do 45 rs.

Z kaczek holenderskich od 25 do 45 rs.

Z popielic od 16 do 24 rs.

Barankowe od 7 do 20 rs.

W kroju salop nie zaszła żadna zmiana zawsze najpraktyczniejsze mają kształt szuby z paletotowymi rękawami, inne są ułożone w jedną lub dwie kontrafałdy na plecach a rękawy paletotowe mają klapkę z frendzelką poszerzającą rękaw pozornie.

Mufki noszone są średniej wielkości, zdobne łebkiem zwierzęcym ze szklannymi oczami, takież łebek spina krawatkę z odpowiedniego futra na dnie cieplejsze, na mrozy zaś używane będą niezbyt wielkie kołnierze, nieco w ząb z przodu i na plecach ścięte.

#### Dalszy ciąg objaśnień dodatku arkusowego.

##### N. 35. Kwadratowy koszyk do roboty.

Materiał: żółtawa „Jawa kanwa“, filozela w rozmaitych jaskrawych kolorach, atlas; 2 cent. szeroka wstążka i średniej grubości sznela jednakowego cieniu.

Prosta podstawka z trzciniek farbowanych orzechowo, z brzegami w naturalnym cieniu, 8 cent. wysoka, trzyma 23 cent. w kwadrat. Licząc z ozdobami na rogach będącymi które po za tę miarę wystają, wynosić powinien kwadrat 25 cent. spód z miękkich czarnych drewnianych laseczek na krzyż danych na których spoczywa pudełko, cienkim drucikiem na rogach przytwierdzone, powinien liczyć w kwadrat 20 cent. tylko. Zupełnie tak samo duże, kraje się pudełko z kartonu zaczynając od denka i czterech ścianek 8 cent. wysokim, i nieznacznie do denka przyszytych, okrętkowym ścięciem. Zewnętrznie, pokrywa się pudełeczko „Jawa kanwą“ ozdobioną gwiazdkami różnokolorowej filozeli, ciemno-fioletowy atlas lekko podwatowany i przystembnowany, wykładła wnętrze pudełka, którego brzeg górny oraz przyczepienie podszewki, rusza ze wstążeczki pokrywa. Cztery przegródki dane w rogach na drobiazgi wymagają 10 cent. długiego a 7 1/2 wysokiego paska kartonu, obłożonego wystembnowanym atlasem, górny brzeg przegródki, pokrywa się sznelą. Wieczko w gotyckim stylu, 8 cent. wysokie, kanwą powleczone, atlasem w środku podbite, zakończa kokarda ze szneli. W miejsce wieczka, dostateczną jest przykrywka, przedstawiająca zręczną jaką kobietą robotkę.

##### N. 36 — 39. Okragły koszyk do roboty lub drobiazgów.

Materiał: Kolorowa materia, zielona np. jak na modelu; także wstążeczka 2 cent. szeroka resztki czarnego aksamitu, złote paciorki, sznurek cienki złoty, także nici, kredowe perełki, etc!

Model z czarno bejcowanych trzciniek, przy 24 cent. średnicy, ma wyłącznie z kwadratowymi nóżkami 22 cent. wysokości. Podszewka gładko na denku rozciągnięta, marszczy się troszkę dla wyłożenia reszty koszyka, przez co z pomiędzy podwójnie danych trzciniek, wyciąga się w rodzaj bufek. Na środku wieczka opatrzonego zawiasą dla otwierania, daje się rozeta ze wstążki, przytwierdzająca zmarszczoną podszewkę wieczka. Z podobnej wstążki robi się rusza, ozdabiająca brzegi koszyka. (Patrz koszyk otwarty, rycina 36.) Takim jest koszyk na drobiazgi; jeżeli go chcemy zastosować na składanie robotek i konieczne utensylja, urządzenie wymaga dodatków. Najpierw w zupełnie ukończony koszyk wkłada się druga część kwadratowa, powleczone materją, z rozmaitemi przystembnowanymi kieszonkami i przegródkami na nici, nożyczki, napastrzek, etc, etc. W wieczko wszywa się druga podszewka, ściągana w środku i formująca worek, dość duży ze względu na wypukłość wieka. Zewnętrzną stronę modelu, zdobią cztery, haftowane bogato wykłady, odpowiednie wielkości koszyka. Obiedwie aplikacje aksamitne, na materji w cieniu podszewki dane, przytwierdzają się sznurem złotym; resztę wyszycia, paciorkami, niemi złotymi i sznurkiem nasładującym długie promienie jak objaśnia rycina 37 i 38. Żeby wykładów, oszyte sznurem złotym, kokardy łączą je z sobą; także kokardy ozdabiają wieko.